

**Ferrarella Marie**

*Poznaj moją mamę 02*

**Przypadkowi znajomi**



## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Najtrudniej było w nocy.

Wtedy wracała pamięć o tym, co dobre i co złe. Myśli tłoczyły się w głowie, nękały serce. Wszystkie złe wspomnienia dotyczyły straty Lorny, obracały się wokół problemu, jak sobie bez niej poradzić.

Można by oczekiwać, pomyślał J.T. Walker, jadąc wozem patrolowym, że po dwóch latach powinienem się z tym pogodzić. Z pustką i żalem.

Zresztą częściowo tak właśnie się stało. Przecież był tu nadal, żył, szedł przez życie, zmagając się z kolejnymi dniami. Wszystko wykonywał tyeraz w pełni świadomie, nie mechanicznie niczym manekin, jak wówczas, gdy dostał wiadomość. To przecież chyba o czymś świadczy

No, tak, pomyślał cynicznie, to na pewno świadczy o tym, że ocalałem. Pytanie tylko, po co?

Nie potrafił na nie odpowiedzieć. Lorna odeszła, a wraz z nią marzenia o rodzinie, zmiecione jednym bezmyślnym skreśleniem kierownicy, jedną straszliwą pomyłką popełnioną przez pijanego kierowcę rankiem w przeddzień Nowego Roku.

Wszystko się skończyło, ot tak.

A on został, by cierpieć i żyć, jak najlepiej potrafił, na świecie, który miał czelność wciąż się kręcić. Bez Lorny.

Bez śmiechu i radości.

Gdyby tylko nie został wtedy na kolejnym dyżurze, który wziął po to, żeby następny wolny dzień spędzić z żoną. Gdyby nie zaproponował jej, aby sama, nie czekając na niego, jechała do swoich rodziców, gdzie mieli się spotkać.

Gdyby tylko...

Cholera, znów zaczął się rozklejać.

Zły na siebie potrząsnął głową, odganiając myśli, tak jak mokry pies otrzepuje się, żeby strząsnąć wodę, która pokryła jego sierść. Myśli nie dawały się odrzucić tak łatwo jak krople wody, ale J.T. umiał sobie z nimi poradzić. Nie pozwalał, by przeszkadzały mu w policyjnej robocie. Patrolował ciemne ulice, sprawdzając, czy śpiącym mieszkańcom Bedford w Kalifornii nic nie zakłóca spokoju. Nie ma sensu prowadzić rozważań o przeszłości, o wydarzeniach, których

mimo najszczęśliwszych pragnień i najgorętszych modłów nie można było zmienić. Czy kiedykolwiek zdoła zaakceptować tę prawdę?

- Do cholery, Lorna, czemu mnie opuściłaś?

W pustym aucie pytanie odbiło się echem i zabrzmiało jak okrutna kpina. Zatrzeszczało radio, ale nie rozległy się żadne komunikaty ani wezwania. Wszędzie dokoła panował spokój.

Wszędzie, tylko nie w umyśle. J.T.

Zmęczony, zły na siebie, zacisnął ręce na kierownicy. Zwykle towarzyszył mu Adam Fenelli. Dziś jednak był sam. Wczesnym wieczorem Fenelli dał znać, że zraził się grypą od najmłodszego syna i leży w łóżku. Na posterunku jak zwykle brakowało ludzi, a nikt z obecnych nie zgłosił chęci, żeby zostać na zastępczy dyżur. Trudno ich zresztą winić. J.T. nie był najlepszym kompanem, lubił pełnić służbę w ciszy. Zawsze był spokojny, teraz zaś szczególnie przestała go bawić cicha gadanina, którą inni zabijali czas. Czas przecież i tak płynął, czy to podczas rozmowy, czy w ciszy. Fenelli nie zwracał na to uwagi i po prostu gadał za dwóch. Usta J.T. wykrzywił uśmiech na myśl o starszym koledze, który stale podejmował próby, żeby go rozruszać. Dobry z niego facet, ale mógłby dać sobie spokój. J.T. już dawno doszedł do

wniosku, że nie ma do powiedzenia nic wartego uwagi.

Ulice Bedford były ciemne i ciche. Pobłyskiwało przyćmione światło wystaw sklepowych, latarnie na tle czarnego jak atrament nieba przypominały wartowników oczekujących nadejścia północy.

Był zwykły, powszedni dzień, większość mieszkańców spała więc w swoich łóżkach, wypoczywając przed nadchodzącym rankiem. Oni na pewno nie mieli kłopotów z zaśnięciem. J.T. na ogół nie mógł zmrużyć oka i dlatego zgłosił się na ochotnika do nocnych patroli.

Ku jego zaskoczeniu Fenelli zgodził się mu partnerować, tłumacząc, że od czasu do czasu taka odmiana każdemu wychodzi na zdrowie. J.T. wiedział jednak, dlaczego kolega tak postąpił. Powodowała nim troska o partnera. Tylko że jemu już nic nie mogło pomóc.

Znów zaczęły go prześladować czarne myśli i pewno rozpełzłyby się po duszy i sercu, ale w tym właśnie momencie dostrzegł na drodze przed sobą jakiś kształt. J.T. miał wrażenie, że tuż za centrum handlowym, kilkaset metrów przed następnym osiedlem mieszkaniowym, widzi pulsujące światła.

Zmrużył oczy, próbując rozpoznać kształt, lecz zamglona szyba zbyt ograniczała pole widzenia. System wentylacyjny w wozie patrolowym od

dawna pozostawiał wiele do życzenia. J.T. zwolnił i z braku chustki otarł szkło dłonią. Po chwili rozpoznał w ciemnym przedmiocie auto stojące na światłach awaryjnych.

Kierowca pewno gdzieś odszedł. Dziwne, J.T. mógłby przysiąc, że przez ostatni kwadrans nikogo nie widział. Może to po prostu mieszkaniac widocznego w dali osiedla postanowił dojść pieszo do domu.

J.T. westchnął. Zepsute samochody nie były rzadkością, jednak na wszelki wypadek trzeba było sprawdzić, co się wydarzyło. Z tej odległości nie mógł jeszcze odczytać numerów, widział tylko, że jest to stosunkowo nowe, dość zadbane auto. Nie dostał żadnego meldunku o kradzieży pojazdu, więc pewno nie dzieje się tu nic podejrzanego. Albo skończyło się paliwo, albo pojazd odmówił posłuszeństwa.

Zaparkował kilka metrów za samochodem i sięgnął do kabury, sprawdzając, czy służbowa broń jest na miejscu. Jak każdy policjant wiedział, że często o życiu mogą decydować sekundy. Ostrożność należało zachować w każdym miejscu, nawet tu, choć w zasadzie Bedford było wyjątkowo spokojnym miasteczkiem. Nagle ciszę nocy i jego myśli przerwał rozziewający krzyk. Ruszył teraz biegiem, wypatrując jednocześnie, skąd może nadejść niebezpieczeństwo.

Kiedy dotarł do auta, w ręku trzymał już wyciągnięty z kabury rewolwer. Nie zauważył nikogo, wokół nie było też żadnych sklepów czy murów, w cieniu których można by się ukryć. Krzyk musiał pochodzić z wnętrza pojazdu.

Z bronią w pogotowiu szarpnął drzwiczki od strony kierowcy. Podświadomie czuł zadowolenie na myśl o kłopotach, w które może się wpakować. Chętnie wyszedłby naprzeciw każdemu problemowi, który podniósłby mu poziom adrenaliny czy pozwolił oderwać myśli od bezsensowności istnienia.

I wtedy ją zobaczył.

Blondynka w ciąży, w nienaturalnej pozie, mocno przechylona na bok, z wielkim brzuchem jakby zaklinowanym za kierownicą.

- Proszę pani... - nie zdążył powiedzieć nic więcej, gdy krzyknęła znowu. Poczuł gęsią skórę na plecach i ból w uszach. Zaraz pękną mu bębenki. Ostatni raz słyszał taki wrzask w kinie, kiedy Fay Wray ujrzała przed sobą King Konga.

Zauważył, że kobieta prawą ręką wczepia się w oparcie fotela, najwidoczniej próbując wydostać się z samochodu.

Madeline Reed, porażona potwornym bólem, który rozrywał jej ciało, nie była w stanie skupić wzroku na mężczyźnie zagląającym do auta.

Dostrzegła natomiast rewolwer i przez głowę przemknęła jej myśl, że zaraz ten facet ją zastrzeli i wybawi z tej straszliwej męki.

- Przepraszam - wysapała. - Zwykle... jestem wytrzymała na ból, ale tym razem ... - przerwała, gwałtownie wciągając powietrze w nadziei, że uda jej się powstrzymać nadchodzący skurcz - jest zbyt silny. - Mocno zagryzając wargi, pomyślała, że to nadzwyczaj delikatne określenie tego dojmującego bólu. Wręcz niedomówienie stulecia.

Nie musiał pytać, żeby się zorientować, jaki to etap porodu. Wszystkie znaki wskazywały, że za chwilę będzie po wszystkim. Każdy by to zauważył, nawet dziecko.

Na dodatek utknęła za kierownicą. Jak mogła się tak urządzić?

- Wody odeszły? - spytał. Próbowwała pokiwać głową.

- Wieki temu, kiedy tylko... tylko... wyruszyłaa...m!

Ten był najgorszy, pomyślała, na pewno najgorszy. Chociaż właściwie każdy skurcz, który ją łapał od wyjścia z firmy, był silniejszy od poprzedniego. To bez wątpienia znaczy, że najgorsze jeszcze przed nią. Mało pocieszająca myśl!

- Jak pani...?- Zresztą nieważne. - Miał świadomość, że w tej chwili nie była w stanie udzielać



żadnych wyjaśnień. Może osunęła się, próbując sięgnąć do torebki, która leżała na podłodze.

Przykucnął przy samochodzie. Zamierzał odsunąć fotel do tyłu, jednak już po chwili wiedział, że nie da rady go ruszyć. Przysiadł na piętach, zastanawiając się chwilę. Słyszał, jak kobieta próbuje zdusić krzyk.

- Muszę panią stąd wydostać. Madeline z trudem odwróciła głowę.

- Bez żartów... Chyba że jest pan Supermanem.

Cholera, czemu musiało się to przytrafić właśnie teraz? Dlaczego nie za godzinę?- Byłaby już sprężona i przygotowana. Gdyby skurcze zaczęły się w domu, a nie pięć minut po uruchomieniu samochodu, zdążyłaby zadzwonić gdzie trzeba, zabrać walizkę i jak człowiek dojechać do szpitala. Nie miałyby teraz wrażenia, że coś ją rozrywa od środka.

A w ogóle termin wypadał przecież dopiero za półtora tygodnia. To nie powinno było się zdarzyć!

W milczeniu odszukał przycisk, który pozwalał zmienić nachylenie oparcia fotela. Odchylił je prawie do pozycji leżącej. Bardzo powoli, ostrożnie pomógł kobiecie usiąść, po czym przekreślić się tak, żeby jej nogi znalazły się poza samochodem. Była drobna, ale w tej chwili, z przesuniętym środkiem ciężkości, trudno jej było się podnieść.

- Niech mnie pani obejmie za szyję - polecił.

- Prosi mnie pan do tańca? - zażartowała Maddy. Tylko poczucie humoru mogło odpędzić strach i powstrzymać ją od zalania się łzami. Tłumaczyła sobie, że policjant próbuje jej pomóc. Nie może go dodatkowo stresować, wpadając w histerię.

Zaskoczyło go dziwaczne pytanie ciężarnej. Podejrzewał, że kobieta ma jakieś przywidzenia albo traci przytomność.

Potrzebował wsparcia, i to szybko!

- Może trochę później - odpowiedział jednak, na wszelki wypadek zupełnie poważnie.

Jak najdelikatniej pomógł jej stanąć na nogach. Kiedy się zachwiała, przyciągnął ją do siebie, otaczając mocno ramionami. Przez głowę przeleciała mu gorzka myśl, że w ten sposób przytulał Lornę.

Szybko zwalczył ogarniający go żal.

- Na razie, - dodał - rodzi pani dziecko.

Ni stąd ni zowąd przypomniawszy jej się kwestia z „Przeminęło z wiatrem”.

- Nic nie wiem o odbieraniu dzieci - wydyszała, walcząc z ogarniającą ją słabością.

Niespodziewanie odniosła wrażenie, że się gdzieś zapada.

Policjant układał ją na tylnym siedzeniu samochodu. Jego ramiona były silne, bezpieczne. Osunęła się, mocno zaciskając zęby, żeby nie krzyknąć mu prosto w ucho.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

Co ona plecień Co za odbieranie dzieci?- Pewno mający z bólu, osądził J.T. Doskonale wiedział, że to możliwe.

Na szczęście nie upuścił jej, przenosząc na tył samochodu. Dzięki Bogu i za to. Kiedy jednak próbował się podnieść, złapała go za rękę. Jej palce zacisnęły się na jego przegubie jak stalowa obręcz. Spojrzał na nią zaskoczony. Nie podejrzewał, że obolała kobieta może dysponować taką siłą.

- Gdzie pan idzie? - jęknęła. Chyba mnie tu nie zostawi, myślała gorączkowo. Sama nie dam sobie rady.

- Do swojego auta. - Wolną ręką odruchowo wskazał wóz patrolowy, którego przecież nie mogła zobaczyć. - Chcę wezwać karetkę.

- Już za późno.

Dziecko nie zamierzało *czekać* na żadną karetkę. Pchało się na świat już, w tej chwili.

Przerażona, jedną ręką trzymała kurczowo jego przegub, paznokcie drugiej wbiła w tapicerkę, próbując się podeprzeć. Plecy wygięła w łuk, co trochę złagodziło ból.

Było mu jej potwornie żal. Miała twarz wykrzywioną bólem, lecz i tak widział, jaka jest piękna. Co, do diabła, robiła w nocy sama na drodze? Gdzie się podziewał jej mąż?

- Potrzebuje pani fachowej pomocy. - Nie czuł się na siłach, żeby zastąpić lekarzy. - Muszę zadzwonić po ambulans. Zaraz tu będą. Bała się zostać sama. Póki jej nie znalazł, walczyła z ogarniającym ją przerażeniem. Poczwała, że zaczyna rodzić, kiedy nagle zgasł silnik.

Wlepiała w J.T. błagalne spojrzenie.

- Niech pan nie odchodzi... Proszę. - Zaciskając zęby, spróbowała unieść się na łokciach, co udało jej się tylko częściowo. - Przecież przeszedł pan odpowiednie szkolenie, prawda?

J.T. nie rozumiał, co to ma do rzeczy.

- No tak, ale...

Cholera, znowu nadchodzi fala bólu. Zaczęła szybciej oddychać.

- Więc niech pan robi, czego pana uczono. Niech pan mi pomoże. To właśnie próbował zrobić, ale jak można

pomóc samym gadaniem? Kiedy trochę rozluźniła chwyt, uwolnił rękę z jej dłoni. Poczował mrowienie, gdy krew zaczęła znów krążyć normalnie, widział na skórze ślady po palcach kobiety. Do tej pory zawsze myślał, że poród wyczerpuje kobiety, pozbawia je sił, tę jednak najwyraźniej wyposażył w jakieś nadludzkie właściwości.

- Może uda mi się przewieźć panią do szpitala. - Od Harris Memoriał dzielił ich jakiś kwadrans drogi. No, może osiem minut, jeśli nie będzie zbyt rygorystycznie przestrzegał przepisów. Spojrzał na stacyjkę, ale kluczyków tam nie było. - Proszę mi dać kluczyki...

Maddy rzucała głową na boki.

- Silnik... zdechł. - Za chwilę i ją to czeka, jeśli ten potworny ból nie minie. Jakim cudem inne kobiety przeżywają porody?

Pomyślał, że mógłby ją przenieść do swojego wozu, jeżeli nie będzie się z nim szarpać. Auto stało blisko, a kobieta była bardzo drobna.

- W takim razie przeniosę panią do mojego... Nim zdążył się pochylić, Maddy wczepiła się w tapicerkę i podciągnęła ciało wyżej. Nie zniosłaby żadnych przenosin, za żadne skarby nie pozwoli, żeby ją ruszał.

- Dziecko... już prawie... jest... - Słowa wypowiadała w rytmie oddechów, które regulowała

teraz zgodnie z zaleceniami ze szkoły rodzenia. Z rozpaczy gotowa była stosować wszystkie możliwe metody. Ku jej zdziwieniu kontrola oddechów przynosiła chwilową ulgę. Ale to wszystko za mało. Czuła się jak homar, którego ktoś próbuje rozłupać.

J.T. zdawał sobie sprawę, że nie ma wyjścia. Poród wszedł w fazę końcową. Kiedyś już zdarzyła się mu podobna historia. W listopadzie, przed śmiercią Lorny, rozszalała się potężna burza. Wracali właśnie z koncertu, kiedy ich auto zatrzymał mąż rodzącej kobiety. Zamierzał odwieźć żonę do szpitala, lecz drogi okazały się nieprzejezdne. Bełkotał coś na temat omijania drzewa eukaliptusowego, które tarasowało jezdnię.

J.T. przeżył wtedy najbardziej niesamowite dwadzieścia minut w całym życiu. Razem z Lorną przyjęli na świat bliźniaki. Nigdy wcześniej nie czuł się tak bardzo związany z żoną. Nagle ponad wszystko zapragnął założyć własną rodzinę.

Pamiętał to uczucie, gdy trzymał w rękach maleńką dziewczynkę. Taka kruszynka, z dużymi, błyszczącymi oczkami. Przypominał sobie, jak ponad głową noworodka czule spojrzeli na siebie z Lorną.

Na krótką chwilę zawładnęły nim gorzkie wspomnienia, ponura przeszłość mieszała się z równie smutną terażniejszością.

Czemu on tak stoi? - myślała gorączkowo Maddy. Czemu nic nie robi?

Nadszedł kolejny skurcz, tak silny, że nie była w stanie kontynuować swoich ćwiczeń oddechowych. Miała nikłą świadomość, że chwyta policjanta za rękę, omal nie łamiąc mu palców w uścisku.

- Pomóż mi - jęknęła błagalnie.

W jej oczach dostrzegł przerażenie. Rzeczywiście, nie mógł jej zostawić ani na chwilę. Myśl o wzywaniu karetki gdzieś się ulotniła.

- W porządku. - J.T. wsunął się do samochodu.

- Jak się nazywasz? - Chciała znać imię mężczyzny, który teraz podnosił jej sukienkę.

- Co takiego? - Nie słuchał, co mówiła. Usiłował sobie przypomnieć, jak należy postępować.

- Jak się nazywasz? - powtórzyła, z trudem wymawiając słowa. - Muszę wiedzieć, kto pomaga mojemu dziecku w przyjściu na świat. - Próbowała się uśmiechnąć, ale na jej twarzy pojawił się tylko bolesny grymas.

Podniósł głos, żeby go usłyszała.

- J.T.

- To nie imię, tylko fragment alfabetu. - Rzęsy miała wilgotne; sama już nie wiedziała, czy to pot, czy łzy.

Wszyscy, także Lorna, tak go nazywali. Jedynie matka używała pełnych imion, które odziedziczył po obu dziadkach.

- John Thomas. - Napotkał jej pytające spojrzenie i uzupełnił: - John Thomas Walker.

Maddy kiwnęła głową z zadowoleniem. Dobrze, niepretensjonalne imię. Jej mąż miał na imię John. Johnny. Och, Johnny, pomyślała. Tak bardzo chciała, żeby teraz był przy niej.

- John Thomas - powtórzyła. Usta miała wyschnięte, ciało wilgotne od potu. - Mam nadzieję, że nie jesteś panikarzem, bo ja jestem... - W tej chwili mogła tylko próbować utrzymywać strach w ryzach.

Wydawało mu się, że rozwarcie jest już całkowite. A zatem to nie potrwa długo.

- Dla mnie to bułka z masłem - próbował podtrzymać ją na duchu.

- Chyba z wbitym w nią nożem. - A raczej wielkim majchrem, wyposażonym w ogromne zębiska, które z każdym oddechem wbijały się w jej ciało. - O Boże, znowu...

J.T. chwycił ją za rękę.

- To minie - powiedział uspokajająco, pochylając się, żeby otrzeć jej czoło.

- Łatwo ci mówić.

Wcale nie było mu łatwo. Czuł się, jakby cofnął się w czasie, jakby ponownie przeżywał jeden z najważniejszych wieczorów w swoim życiu.

Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy.

- Nie - zaprzeczył zdecydowanie. - Wcale nie.



- Zastanawiał się, jak odwrócić jej uwagę od bólu. Lorna poprzednim razem uspokoiła rodzającą kobietę, śpiewając jakąś starą irlandzką kołysankę, jednak J.T. nie podjąłby się śpiewania. Po co, skoro jego głos brzmiał jak zdarta płyta. - A tobie jak na imię i

- Mad... - zaczęła. W pierwszej chwili zamierzała podać używane przez wszystkich zdrobnienie. Ale czy kobieta, która właśnie rodzi dziecko, może nazywać się Maddy? Tak należy zwracać się do trochę zwariowanej trzpiotki, jaką zawsze była. Teraz jednak postanowiła się zmienić. Zostanie matką, a wszystkie matki powinny być przecież poważne i odpowiedzialne. - Madeline Reed.

Widział już główkę dziecka. Za chwilę i on, i rodzająca odetchną z ulgą.

- No, Mad Madeline Reed, zaraz zostaniesz matką.

Żałowała, że nie ma nic, czego mogłaby się trzymać.

- Co ty powiesz? A to niespodzianka!

- Chłopak czy dziewczynka? Nie zrozumiała pytania.

- To jakaś zagadka?

- Pytam, co byś wolala? Syna czy córkę?

- Bez znaczenia, byle już to się skończyło. - Nie wierzyła, że da sobie radę. Była zbyt zmęczona.

- Jeszcze tylko chwileczkę - obiecał. - Teraz, kiedy ci powiem, zaczniesz przeć.

- Nie mogę już czekać! - jęknęła. Nie była pewna, czy zdoła znieść ból choćby sekundę dłużej. Nie była przygotowana na takie męczarnie. Przecież w ogóle nie planowała tej ciąży. Teraz cieszyła się jednak, że w ten sposób zachowa na zawsze jakąś część Johnny'ego. - Muszę przeć! Natychmiast!

Bał się, żeby coś jej się nie stało, żeby nie zrobiła sobie krzywdy.

- Jeszcze nie - ostrzegł. Nerwowo usiłował sobie przypomnieć wszystkie konieczne czynności. Ostatecznie ten poród odbywał się w dość nietypowych warunkach.

- Mogę już? - szepnęła prosząco. Zresztą było jej wszystko jedno, co on odpowie. I tak zacznie przeć, po prostu musi.

- Teraz. Raz, dwa, trzy, przyj!

Zupełnie niepotrzebnie liczył do trzech, bo Maddy już na „raz” zaczęła przeć z całej siły.

Po chwili, wyczerpana, opadła na siedzenie jak szmaciana lalka.

Próbowała zebrać siły, żeby zmierzyć się z kolejnym skurczem.

- Świetnie - pochwalił ją J.T.

Z jakiej racji traktował ją tak protekcyjnie?- Nieprawda.

Gdyby było, jak mówisz, już bym urodziła.

- Jeszcze tylko moment.

- Może chciałbyś się zamienić ? - Z trudem podciągnęła się trochę wyżej.

Wiedział, że teraz już powinna urodzić. Jeszcze tylko trochę, tylko odrobinę, pomyślał, czując narastające wzruszenie.

- Nie da rady - odparł.

- Nieużyty gbur.

I znów skurcz. Atakował zniecka, jak drapieżnik polujący na kluczącą gazelę.

- O Boże...

Przestraszył się paniki, którą usłyszał w jej głosie. Zmusił ją, żeby spojrzała mu w oczy.

- Przyj - rozkazał. - Mocniej!

Nie wierzyła, że może wykrzesać z siebie więcej energii.

Zacisnęła powieki. Wyobraziła sobie dziecko, które wreszcie się z niej wysuwa, i parła, wkładając w to moc całego ciała, wszystkie siły ogłupiałego umysłu. W końcu, ciężko oddychając, opadła z sił.

To jeszcze nie koniec, pomyślała przerażona.

- Na pewno coś się stało...

- Nie dzieje się nic złego. - Specjalnie użył szorstkiego, zdecydowanego tonu, licząc, że w ten sposób powstrzyma jej panikę. - To dziecko, a nie puszka, która wyskakuje z automatu po wrzuceniu monety. No, jeszcze raz. Gotować

- Nie.

Spojrzał w jej pobladłą twarz. Cholera, czemu od razu, kiedy dostrzegł jej samochód, nie wezwał pomocy?

- No, dawaj! Zamknij oczy i przyj. Dasz sobie radę, Madeline.

- Maddy - poprawiła go. Chciała usłyszeć używane od lat zdrobnienie. Takie imię nosiła, kiedy poznała męża. Również jako Maddy szła na jego pogrzeb.

- Maddy - powtórzył J.T. Rzeczywiście, to imię do niej pasowało.

- Urodźmy wreszcie to dziecko.

Zamknęła oczy i modląc się w duchu, parła z całych sił.

Po chwili dotarł do niej płacz dziecka.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Nie chciał tego ani nie planował.

Trzymał w rękach nowo narodzone dziecko, gdy nagle ogarnęło go to uczucie. Zaczęło się gdzieś wewnątrz, w piersi, a potem rozeszło po całym ciele. Wielkie oczy popatrzyły na niego ciekawie, a on w tej samej sekundzie poczuł, że wraca do życia, znów staje się częścią świata.

Tak sobie wyobrażał spojrzenie własnego dziecka. Swojego i Lorny.

Jego zamarte serce odtajało i zaczęło znów bić. To wszystko działo się mimo jego woli. Nie miał na to żadnego wpływu. Usta J.T. powoli rozciągnęły się w uśmiechu.

Było za cicho, za spokojnie. Czyżby coś stało się dziecku ? - pomyślała Maddy ogarnięta paniką.

- Czy... wszystko w porządku

Oddech Madeline zaczynał się już wyrówny-

wać, lecz wciąż brakowało jej powietrza, żeby móc powiedzieć jednym ciągiem całe, nawet krótkie zdanie. W piersiach czuła pieczenie, całe ciało miała odrętwiałe z bólu, ale w tej chwili najgorszy był ból serca. Dziecko musi być zdrowe!

Ledwo usłyszał jej pytanie. Oczy go piekły, gardło miał ściśnięte. Zapomniał, jak czuje się człowiek, gdy trzyma na rękach nowe życie, gdy jest świadkiem cudu.

- Wszystko w porządku - odpowiedział. - Jest piękny.

Przeczenie mówiło jej, że to prawda. Nie wiedziała, skąd ma tę pewność, ale wierzyła J.T. bez zastrzeżeń.

- Onv

J.T. podniósł wzrok na Maddy. Jak mógł się tak zapomnieć?

Przecież ta kobieta nadal potrzebuje jego pomocy. Przytaknął, rozglądając się jednocześnie, w co by tu owinąć noworodka.

- Masz syna.

Zacisnęła usta, walcząc ze łzami, które pojawiły się nie wiedzieć skąd. Johnny byłby taki dumny! Jednak Johnny nie wiedział nawet o ciąży. Zginął, nim zdążyła go zawiadomić. Mamy syna, Johnny! - pomyślała. Gratulacje!

W samochodzie było ciemno, mimo to w nikłym świetle latarni J.T. dostrzegł łzy w oczach wzruszonej Maddy.

Pochylił się trochę niezręcznie i podał synka kobiecie, układając małe ciało w zgięciu jej ramienia. Ich oczy spotkały się na krótką chwilę. Tak samo popatrzyli na siebie z Lorną, gdy odnaleźli swoje spojrzenia ponad główką noworodka.

J.T. spuścił wzrok.

- Ostrożnie, jest śliski.

Była pewna, że ze wzruszenia głos odmówi jej posłuszeństwa, kiwnęła więc tylko głową, gdy poczuła niewielki ciężar na ręku.

- W bagażniku mam koc - odważyła się w końcu odezwać.

Odszukał dźwignię i otworzył klapę. Koc leżał na koszu wypełnionym bielizną i ręcznikami. Przede wszystkim potrzebne było narzędzie, którym mógłby przeciąć pępowinę, ale nie widział nic odpowiedniego. W końcu sięgnął po koc, zabrał też kilka ręczników.

- Zawsze podróżujesz z praniem? - spytał, układając ręcznik na przednim fotelu.

- W sobotę zepsuła mi się pralka. - Maddy z uśmiechem patrzyła na synka. Jej matka zawsze twierdziła, że nic w życiu nie dzieje się bez powodu. - Robiłam pranie u mamy. - Gdyby nie to, pomyślała, nie byłoby teraz ani koca, ani ręczników.

Bardzo ostrożnie wycierał dziecko.

- Wracająś od matki?

Patrzyła zafascynowana, jak delikatnie ten du-

ży, silny mężczyzna obchodzi się z jej synkiem. Ciekawe, ile ma własnych dzieci? Pokręciła głową w odpowiedzi.

- Nie, wracałam z przyjęcia. Zakończyliśmy właśnie pracę nad ogromnym zleceniem i postanowiliśmy to uczcić - wyjaśniła i natychmiast uświadomiła sobie, że J.T. nie może wiedzieć, o czym ona mówi. Jej rodzina od ponad stu lat prowadziła Rossini Decor, przedsiębiorstwo zajmujące się projektowaniem wnętrz. Firmę z tradycjami, gdzie poza niemodnym już profesjonalizmem liczyły się godność, honor i uczciwość. Nie mówiąc o dobrym guście.

My. Zrozumiał to po swojemu.

- Ty i twój mąż?

To słowo wywołało nowe potoki łez, które za wszelką cenę pragnęła powstrzymać. Skąd się wziął ten melancholijny nastrój? Powinna przecież radować się szczęściem.

Podniosła wzrok.

- Nie.

J.T. zrozumiał, że wkroczył na zakazany teren. Może była rozwiedziona?

Oddając Maddy owinięte dziecko, rzucił okiem na jej dłoń. Na palcu ciągle tkwiła obrączka. Rozwód mógł nastąpić niedawno i pewno Maddy nie zaakceptowała tego faktu. W przeciwnym wypadku natychmiast zdjęłaby obrączkę.



- Muszę cię odwieźć do szpitala - odezwał się, starając się ocenić odległość między autami. Bał się ryzyka związanego z przeniesieniem jej do swojego samochodu. Nie zdecydowałby się na to, nawet gdyby stał bliżej. Wiedział też, że nie wolno mu zostawić wozu patrolowego bez opieki. Że też Fenelli właśnie teraz musiał się rozchorować!

- Zgodzisz się, żebym poszedł wezwać karetkę?-

- zwrócił się do Maddy.

Zagryzła wargi, wspominając ze wstydem, jak się zachowała, gdy proponował to wcześniej.

- Przepraszam. Byłam okropna.

Nie potrzebował jej przeprosin, nie chciał też, żeby go źle zrozumiała.

- Miałaś rację. Powołano nas, by służyć i bronić. To moja praca i mój obowiązek.

Tak zawsze mówił Johnny. Przytuliła mocniej synka, którego mąż nie mógł już zobaczyć.

- Wiem. Mój mąż był policjantem. Odchodził już do wozu, lecz zatrzymał się w pół kroku.

- Był?

Taki króciutki wyraz, ale ile kryje się w nim treści! Poczowała ucisk w sercu.

- Zginął na służbie osiem miesięcy temu. Zaskoczyła go ta informacja. Gdy zmarł jej mąż, Maddy była zaledwie w pierwszym miesiącu ciąży. J.T. spojrzał na dziecko.

- Wiedział?

- Nie.

Nigdy nie pozbędzie się wyrzutów sumienia, że trzymała tę nowinę w tajemnicy. Johnny tak bardzo pragnął mieć dzieci. Chciała zrobić mu niespodziankę w czasie romantycznego weekendu, na który się wybierali.

J.T. widział jej smutek i chociaż wydawało mu się, że jego serce nie jest już do tego zdolne, żałował Maddy.

- Przykro mi.

Maddy powoli wciągnęła powietrze, próbując wyrównać oddech.

- Jasne. Mnie również. - I po chwili dodała: - Nie wzywaj karetki.

Odwieź mnie sam.

Popatrzył na nią niepewnie.

- Nie wiem, czy powinienem cię ruszać...

- Dlaczego? Jesteś przecież silny, a ja także nie jestem takim słabeuszem, na jakiego wyglądam.

Zastanawiał się przez chwilę, wreszcie podjął decyzję.

- No, dobrze. Podjadę bliżej.

Maddy uśmiechnęła się pod nosem.

Przenosiny okazały się łatwiejsze, niż przewidywał. Maddy była lekka jak piórko, a fakt, że trzymała w objęciach synka, nie miał właściwie znaczenia. Sterty teczek z aktami, które zdarzało mu się nosić, bywały cięższe.

Wiatr wzmógł się i kiedy J.T. układał Maddy na siedzeniu swojego auta, owionęła go przez moment cudowna, oszałamiająca woń.

Chyba mam przywidzenia, pomyślał, siadając za kierownicą, a głośno powiedział:

- Za kilka minut dojedziemy na miejsce. Maddy czuła się bezpiecznie na tylnym fotelu.

- Nie spiesz się. Wszystko, co mi potrzebne do szczęścia, mam już przy sobie - odparła, patrząc na dziecko.

W lusterku widział, jak promiennie wygląda. On sam miał wrażenie, że emocje w nim wrą jak lawa, to nieoczekiwane trzeszcza, to znów napinają się, jak dawno nie używane stawy i mięśnie. Próbował zignorować to dziwne odczucie. Przecież Maddy jest tylko jedną z wielu mieszkańek miasta. Odebrał poród, teraz odwiezie kobietę z dzieckiem do szpitala, nic poza tym.

- Chcesz, żebym kogoś zawiadomił? - spytał, przejeżdżając skrzyżowanie w chwili, gdy światło pomarańczowe zmieniało się na czerwone. Przed sobą mieli wjazd na autostradę, gdzie ruch był minimalny.

- Tylko moją matkę. - Dziecko zakwiliło, więc zaczęła je kołysać.

- Ona już da znać reszcie. Chyba powinnam cię uprzedzić, że mama zechce podziękować ci osobiście. - Jak znała matkę, słowo „zechce” było zdecydowanie zbyt łagodne.

Lorraine Rossini zawsze umiała dopiąć swego. - Zresztą wszyscy inni także.

Spojrzał w lusterko, ale oczy Maddy skierowane były na synka.

- Jak to: wszyscy?

Zaśmiała się. Zabrzmiało to trochę niepewnie.

- Mam wielką rodzinę. Wielką i bardzo zżytą. Ciekawe, jak to jest. J.T. był jedynakiem. Jego rodzice zmarli, nim skończył dwadzieścia pięć lat. Całym jego światem była Lorna.

- To chyba miłe - mruknął, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Rzeczywiście - powiedziała z przekonaniem. - A teraz przybył na świat nowy członek naszego klanu. - Przejęta radością pocałowała malutką główkę. - Naprawdę miłe.

Cóż, on nie mógł mieć o tym zielonego pojęcia i prawdopodobnie nigdy nie będzie miał. Jego nadzieje na założenie rodziny umarły wraz z Lorną, tamtej sylwestrowej nocy.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

J.T. postanowił zakończyć swój udział w tej sprawie.

Zrobił, co do niego należało, a nawet więcej. Zawiózł Maddy do szpitala i zawiadomił, tak jak prosiła, jej matkę. Cierpliwie wysłuchał okrzyków radości, które pani Rossini zaczęła wydawać, kiedy już poznała wszystkie szczegóły dotyczące narodzin wnuka. Udało mu się to wszystko załatwić jeszcze przed opuszczeniem szpitala. W tym momencie poczuł się zwolniony z wszelkiej odpowiedzialności.

Wcale nie musiał więc prosić Ambroise'a, kolegi z posterunku, o podwiezienie go do porzuconego na drodze auta Maddy. Nie musiał też awaryjnie uruchamiać jej samochodu ani odstawiać go na podjazd przed jej domem. Na pewno nie były to sprawy najważniejsze, a ich załatwienie nie nale-

żało do obowiązków policji. Nie potrafiłby wyjaśnić, czemu to wszystko zrobił; po prostu wydawało mu się, że tak właśnie należało postąpić.

Evan Ambroise jechał za J.T., żeby odwieźć go potem do domu. Wysoki, postawny policjant, o czarnej jak heban skórze, nie próbował nawet ukryć swojego zadowolenia. Czekał na J.T. w wozie, a gdy samochód Maddy został już bezpiecznie zaparkowany, uśmiechnął się szeroko.

- Cieszę się, że zaczęłaś wykazywać trochę zdrowej energii. Choćby po to, żeby parkować cudze auta. - Roześmiał się z własnego dowcipu, wyprowadzając wóz z osiedlowych uliczek. J.T. wzruszył ramionami.

- Musiałem dokończyć pewną sprawę - odparł, nie patrząc na kolegę.

- Czy ta sprawa ma jakieś imię -- spytał Ambroise z domyślnym uśmiechem.

J.T. nie przejął się pytaniem. Wiedział, do czego zmierza starszy, od dawna żonaty kolega, ojciec sześciorga dzieci. Oboje z żoną, Claire, zapraszali go do siebie niezliczoną ilość razy. Tak jak jego partner, namawiali go, żeby zaczął gdzieś wychodzić, spotykać się z ludźmi, wrócił do życia. Nikt nie potrafił zrozumieć, że on tego zwyczajnie nie chce. Życie stało się zbyt puste i bezsensowne. Po cóż więc do niego wracać?

- Zeszłej nocy odebrałem poród, a potem

odwiozłem tę kobietę do szpitala - wyjaśnił w końcu niechętnie.

- Meżatka? - W głosie Ambroise'a pojawiła się nuta niepokoju.

- Wdowa. To jej samochód. - Widząc szeroki uśmiech na twarzy kolegi, dorzucił niecierpliwie:

- Nie wyobrażaj sobie za wiele.

- Dobra, nie będę. - Spojrzał na J.T. - Ciekawe tylko, co ona sobie wyobrazi, gdy stwierdzi, że samochód zniknął z drogi. Może lepiej zawiadom ją, że przestawiłeś auto w bezpieczne miejsce.

- Ambroise zacisnął usta, próbując powstrzymać uśmiech. -

Świeżo upieczona mama ma tyle spraw na głowie. Nie powinna się denerwować, że ktoś jej rąbnął auto.

J.T. w zamyśleniu przeciągnął ręką po twarzy. Powinien sam na to wpaść. Tyle że od zeszłej nocy w ogóle miał kłopoty z logicznym myśleniem. Chyba zaczęły się w chwili, gdy wziął w ramiona dziecko Maddy.

Do diabła, po co się oszukuje! W gruncie rzeczy od momentu, kiedy pierwszy raz spojrział na Maddy, Trochę przypominała mu Lornę. Taka drobna blondynka, na dodatek ciężarna... Taką zawsze pragnął widzieć swoją żonę.

Nie zamierzał wspominać o tym Ambroise'owi. Wystarczyło jedno niewłaściwe słówko, a cały posterunek huczałby od plotek. Jedyne

rzeczą, którą Ambroise utrzymał kiedyś w tajemnicy, był ból zęba, a i wówczas zachował sekret zaledwie dziesięć minut.

- Zamierzałem tak zrobić.

Ambroise kiwnął głową bardzo zadowolony, że J.T. ma pretekst, by ponownie zobaczyć się z tą kobietą. Trzeba koniecznie opowiedzieć o tym Claire.

- Świetnie. Nie chciałbym, żeby jednego z najlepszych gliniarzy w Bedford pomyłkowo oskarżono o kradzież samochodu.

J.T. zignorował kolejny szeroki uśmiech, jednak nie umiał już udawać, że nie słyszy radosnego rechotu, który go ścigał aż do drzwi domu.

Ambroise trafił w sedno. Jak Maddy miałyby się domyślić, co stało się z jej autem?

A to znaczy, że znów ją spotka.

- Dobre uczynki nigdy się nie sprzykrzą - mruknął pod nosem powiedzenie usłyszane dawno temu od matki.

Z ciężkim westchnieniem wszedł do swojego auta i ruszył w stronę szpitala.

J.T. szedł powoli do wind usytuowanych w końcu korytarza.

Zadziwiające, żeby miejsce, gdzie przebywali chorzy przecież ludzie, mogło wyglądać tak wesoło, kolorowo i przytulnie. A przede wszystkim pozbawione było tego



okropnego, właściwego większości instytucji medycznych, zapachu, od którego żołądek zawsze podchodził mu do gardła. Jednakże, mimo sympatycznej, podnoszącej na duchu atmosfery, wcale nie chciał tu przyjeżdżać.

Próbował sobie tłumaczyć, że to nic nadzwyczajnego.

Ostatecznie wpadł tylko zawiadomić Maddy o przestawieniu samochodu. A skoro już tu jest, może przy okazji sprawdzić, jak czują się mama i maleństwo. W gruncie rzeczy każdą sprawę należy doprowadzać do końca. Takie rutynowe działanie, nic poza tym.

Nawet do głowy by mu nie przyszło przyznać się przed samym sobą, że najzwyczajniej w świecie chce ją znów zobaczyć. Fakt, zeszłej nocy przeżyli coś niezwykłego, coś, o czym się nie zapomina, ale co to ma do rzeczy- Co z tego, że pomógł jej synkowi przyjść na świat, że tym samym stał się swego rodzaju uczestnikiem tego cudu natury?

Jeśli nie chce powiększać swojego bólu, nie może pozwolić sobie na dalsze zaangażowanie w tę sprawę.

Wysiadł z windy na piątym piętrze i w dyżurce pielęgniarek poprosił o informację. Chodzenie po korytarzu w poszukiwaniu właściwego pokoju byłoby zwykłą stratą czasu. Im szybciej odnajdzie Maddy, tym prędzej będzie mógł opuścić szpital.

Starsza kobieta spojrzała znad okularów.

- Jeszcze jeden, co?

- Słuchami

Pielegniarka potrząsnęła głową.

- Nieważne. Nie wiedziałam, że przyjęliśmy tak popularną osobę

- zaśmiała się jak z dobrego żartu. - Wprowadziła na oddział trochę życia.

Nie miał pojęcia, o czym ona mówi.

- Przepraszam, czy Madeline Reed leży na tym piętrze, czy nie?

- Och, jasne, że tak. Pokój pięćset dwanaście. Proszę iść tym korytarzem. - Wskazała w lewo. - Jeśli będzie się pan kierował słuchem, na pewno pan trafi.

Dochodząc do końca korytarza, faktycznie usłyszał szmer głosów. A gdy otworzył drzwi pokoju, ujrzał mur stworzony z ludzkich pleców. Część gości zgromadziła się przy łóżku, inni stali pod oknem, wszyscy w znakomitych nastrojach. Szpitalny pokój wyglądał, jakby jakaś firma postanowiła urządzić doroczne spotkanie integracyjne w najmniejszym z biurowych pomieszczeń.

Niezdecydowanie zatrzymał się przy drzwiach. Może powinien przyjść trochę później. Albo po prostu zadzwoni do szpitala i każe połączyć się z pokojem. Szkoda, że wcześniej nie wpadł na ten pomysł. Choć pewno i tak nikt nie usłyszałby dzwonka w tym hałasie.

Odwracał się, żeby odejść, kiedy ktoś chwycił go za rękę. Koło niego stała promieniejąca radością niska, tęgawa, starsza kobieta w jasnoczerwonej sukience.

- Pan jest na pewno J.T. - bardziej stwierdziła, niż zapytała.

- Tak - odparł, przyglądając się uważnie kobiecie. Miała bystre, niebieskie oczy, jasną cerę i ciemnoblonde włosy. Wypisz, wymaluj, starsza wersja Maddy.

- Tak myślałam. Bardzo dokładnie pana opisała. Chciałam uścisnąć mężczyznę, który uratował moje dziecko. - Nim zdążył się odezwać, starsza pani objęła go ramionami. Kiedy go uścisnęła, stwierdził, że podobieństwo rodzinne jest niezaprzeczalne. Do tej pory czuł na przegubie palce jej córki. Słyszając radosne piski matki, Maddy spojrzała w kierunku drzwi. Biedny John Thomas, pomyślała. Matka miała skłonność do popadania w przesadę i lubowała się w dość teatralnych gestach. Na szczęście Maddy dawno już wyrosła z wieku, kiedy takie demonstrowanie uczuć wprawiało ją w zażenowanie.

- Mamo, ja rodziłam, a nie wisiałam nad przepaścią.

- Żadna różnica - prychnęła Lorraine Rossini. - Mogłabym ci podać parę przerażających przykładów. Uwierz mi.

Wciąż trzymając rękę J.T., Lorraine ruszyła do łóżka córki. Zgromadzeni goście rozstępowali się przed nią jak przed monarchinią.

- O, na pewno - zgodziła się Maddy, powstrzymując uśmiech, który jednak pojawił się w jej oczach, gdy podniosła wzrok na nowego gościa. - Wróciłeś.

Zabrzmiało to, jakby go oczekiwała. Skąd jej to przyszło do głowy?

- Chciałem cię poinformować, że odstawiłem twój samochód. Starszy, niski mężczyzna z ciemnymi, przyprószonymi siwizną włosami zastąpił mu drogę.

- Skonfiskował pan jej samochód - Zabrzmiało to jak wyzwanie.

- Uspokój się, tatusiu - odezwał się z tłumu jakiś głos. - Daj mu dokończyć.

J.T. zmarszczył brwi.

- Zaparkowałem go na twoim podjeździe

- zwrócił się do Maddy, nie do mężczyzny, który prawdopodobnie był jej ojcem.

- Skąd pan wiedział, gdzie ona mieszkać - To pytanie zadała jakaś starsza dama, patrząc podejrzliwie na J.T.

- Jest policjantem - wyjaśniła matka Maddy.

- Oni wszystko wiedzą.

Nie odwracał wzroku od Maddy.

- Zajrzałem do twojej torebki - poinformował

ją. - Pomyślałem, że pod domem auto będzie bezpieczniejsze - dodał, rugając się w myślach. Po co się tak bezsensownie tłumaczyć

- Bardzo rozsądnie pan postąpił - ucieszyła się Lorraine, ciągle uczepiona jego ręki.

Nagle odniósł nieodparte wrażenie, że pani Rossini ogląda go jak najnowszy model sportowego auta, który dopiero zjechał z taśmy. Jakby zastanawiała się, czy warto kupić go ukochanej osobie w prezencie...

Wyzwolił się z jej uścisku i cofnął o krok.

- No, będę już szedł - powiedział do Maddy i zataczając ręką wokół, dodał: - Masz wystarczająco dużo gości.

Zupełnie jakby jego gest był umówionym sygnałem do zakończenia odwiedzin, hałas raptem się wzmógł. Ktoś nagle zauważył, że zrobiło się strasznie późno, ktoś spieszył się do szkoły, ktoś inny do sklepu. Tłoczyli się teraz przy łóżku Maddy, całowali ją w policzek i kierowali do wyjścia. Wcześniej jednak każde z nich dokładnie lustrowało J.T.

Po chwili w pokoju zostali już tylko rodzice Maddy.

- Też chyba pójdziemy, kochanie - oznajmiła pani Rossini. - Miło mi było pana poznać. - Położyła rękę na dłoni J.T. - Wczoraj zmówiłam za pana modlitwę.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Dlaczego?

- Jak to? Oczywiście z wdzięczności, że był pan przy Maddy. - Spojrzała na córkę. - Zawsze musi tak ryzykować. Chcieliśmy odwieźć ją do domu, ale uparła się wracać sama, tłumacząc, że niepotrzebnie się martwimy, skoro termin porodu wyznaczono za półtora tygodnia. Szkoda tylko, że dziecko nie zna się na kalendarzu. - Lorraine uśmiechnęła się do J.T. - Jestem szczęśliwa, bo znalazła anioła stróża, który się nią zaopiekował. Jej mąż wymamrotał kilka słów pożegnania i pociągnął Lorraine do wyjścia, uśmiechając się do oszołomionego J.T., który stał z otwartymi ze zdziwienia ustami.

Kiedy drzwi się zamknęły, odwrócił się do Maddy.

- Męcząca, co? - zaśmiała się. Pokiwał głową.

- Można tak to określić.

- Ma jak najlepsze chęci. Czemu nie podejdziesz? - zachęciła go.

- Chciałabym, żebyś poznał pewnego, teraz już bardzo czyściutkiego, obywatela.

Dopiero w tej chwili J.T. dostrzegł przezroczyste, przypominające głęboką kuwetę łóżeczko, ustawione tuż przy łóżku Maddy.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

J.T. z reguły zachowywał równowagę i spokój ducha i rzadko pozwalał, żeby coś go z tego stanu wytrącało. Kiedy jednak spojrział na maleństwo, które w nocy przyjmował na świat, nastąpił jeden z tych nielicznych momentów.

Maddy zauważyła, że John Thomas patrzy na dziecko jak na coś wyjątkowego. Zresztą i ją nachodziły myśli, że uczestniczy w magicznym wydarzeniu. Jej usta rozciągnęły się w uśmiechu. Z tego gliniarza wcale nie był taki twardziel, za jakiego chciał uchodzić.

- Może weźmiesz go na ręce ?

Jak automat ruszył do przodu, ale tym razem instynkt samozachowawczy zadziałał błyskawicznie i J.T. zatrzymał się w pół kroku. Musi zachować dystans. To dziecko w ogóle nie powin-

no pojawić się w jego życiu. Nie może angażować się w coś, co i tak nie ma żadnej przyszłości.

Bojąc się, że ręce nie posłuchają tych logicznych argumentów i zrobią coś głupiego, wcisnął je głęboko do kieszeni.

- Nie, wpadłem tylko zawiadomić cię o aucie. Nie słuchała, co mówi, tylko patrzyła mu w oczy.

- Na pewno? Nie jest już taki śliski. - Pielęgniarki wymyły i wypudrowały noworodka, no i pieluszka powinna być jeszcze sucha. - I znacznie ładniej pachnie.

Mimo najlepszych chęci wrócił myślami do poprzedniego wieczoru, do wspaniałych chwil, kiedy trzymał w ramionach noworodka. Niemal bez udziału woli podszedł do łóżeczka.

- Moim zdaniem wczoraj pachniał bardzo pięknie - powiedział cicho, patrząc na małą istotkę. Małeńka piąstka wysunięta z biało-niebieskiego kocyka leżała koło małego policzka.

Nie potrafiłby wyjaśnić, czemu postąpił dokładnie wbrew sobie.

Schylił się po dziecko i przytulił je do piersi. Przymknął oczy, gdy przeniknęło go ciepło maleństwa. Zaskoczyło go, że w miejsce bólu, którego się spodziewał, pojawiło się rozkoszne uczucie słodyczy. Bardzo delikatnie pogłaskał czarne włoski.

- Chyba nigdy nie widziałem noworodka z tak



bujną czuprynką - powiedział zdziwiony, spoglądając na Maddy.

- W rodzinie mojego ojca to się często zdarza - odparła. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w J.T. i próbowała wyobrazić sobie na jego miejscu swojego męża. - Masz dzieci?

Odczuł jej pytanie jak bolesny policzek. Kiedy podniósł głowę, jego twarz wyglądała niemal jak skamieniała.

- Nie mam - rzucił sucho.

Dostrzegła ból, chociaż próbował go ukryć. Zaintrygowana drażyła dalej:

- Ale chciałeś mieć, prawda?

Spojrzał na nią tak ostro, że czym prędzej się wycofała. Nie powinna była tego mówić.

- Przepraszam. Moja matka zawsze powtarza, że nie znam umiaru. Spytałam, bo wyglądałeś tak smutno, a jednocześnie tak wprawnie trzymasz Johnny'ego.

Uniósł brwi, patrząc na śpiące niemowlę.

- Johnny'ego?-

Wyciągnęła rękę, żeby poprawić kocyk synka. Kiedy palcami musnęła rękę J.T., poczuła, jak napięły się jego mięśnie.

- Postanowiłam nadać mu imię męża... - Podniosła na niego oczy.

- I twoje. Od urodzenia będzie miał dwóch bohaterów.

Co mógł jej na to odpowiedzieć? Czy spodzie-

wała się, że pozostanie w, jej życiu tylko dlatego, że znalazł się we właściwym miejscu o właściwym czasie?- Nie zamierzał z nikim dzielić swojego życia, tak postanowił. Wystarczyło, że jego partner i pozostali koledzy z posterunku próbowali wciągnąć go do swojej paczki, chociaż bronił się przed nimi, jak mógł. Był samotnikiem i odpowiadało mu takie rozwiązanie. A poza tym nie zależało mu na czczych pochwałach.

- Nie znałem twojego męża, ale ze mnie żaden bohater. Lepiej, żeby twój syn znalazł sobie kogoś, kogo rzeczywiście mógłby podziwiać.

Spodobała się jej ta powściągliwość.

- Przyszedłeś mi na ratunek, a to w moim rozumieniu prawdziwe bohaterstwo. Czy ci się to podoba, czy nie - dodała szybko, nim zdążył zaprotestować - jesteście ze sobą w jakiś sposób związani. Niemowlę poruszyło się i nowa fala ciepła przeniknęła ciało J.T.

- Czemu sądzisz, że mi się to nie podoba? Chyba go rozgryzła. Wyglądał na człowieka,

który za wszelką cenę chciał się od innych trzymać z daleka, więc mówił „białe”, ilekroć inni widzieli „czarne”.

- Tak mi się zdaje. Podejrzewam, że już w szkole miałeś opinię trudnego we współżyciu indywidualisty.

Nieustannie stawiano mu taki zarzut. A właściwie przecież nie chodziło wcale o to, że zawsze miał inne zdanie. Nie sądził jednak, by miało sens przyłączanie się do grupy, tylko dlatego, że inni tak postępują. Niewielu nauczycieli potrafiło to zrozumieć, większość próbowała zmienić J.T.

- Rzeczywiście jestem typem samotnika, jeśli to miałaś na myśli - potwierdził jej opinię.

- Tak, właśnie to miałam na myśli. A zauważyłeś kiedyś, że samotnik i samotny to wyrazy pokrewnej

Rozumiał intencje i dobrą wolę Maddy, jednak nie zamierzał wdawać się w dyskusję na ten temat.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Nieprawda, pomyślała. Na pewno nieraz przyszło mu to do głowy. Wybrał świadomie taki sposób na życie, a teraz już nie potrafi zawrócić z obranej drogi.

- Samotność nie zawsze jest najlepszym rozwiązaniem.

- Mnie się podoba - uciał dyskusję.

Dał jej wyraźnie do zrozumienia, że powinna się wycofać, Maddy jednak postanowiła na razie zmienić taktykę. Musiała wdrzeć się za ten mur, którym się otoczył.

- A więc nie ma pani Walker?-

- Zamierzasz poznać historię mojego życia? - spytał oschle.

Miał nadzieję, że suchy, nieprzyjemny ton zniechęci ją. Znacznie bardziej odporni tracili w takiej sytuacji kontenans. Szybko się jednak przekonał, że nie docenił Madeline Rossini Reed.

- Chętnie - przyznała. - Jeśli tylko zechcesz mi ją opowiedzieć. Zaśmiał się krótko. Jeszcze chwila, a oznajmi mu, że należy jej się ta opowieść, skoro połączyło ich tak intymne przeżycie jak narodziny dziecka. Skorzystał jednak z furtki, którą zostawiła.

- Nie, wolę nie.

Maddy przechyliła głowę. Ciekawe, pomyślała, czy zdawał sobie sprawę, że zaczął właśnie kołysać dziecko, które cichutko zakwiliło- Nie miała wątpliwości, ten facet, pomimo pozornej oschłości, jest wspaniałym materiałem na ojca.

- Dlaczego?

Pytanie, zadane tak bezpośrednio, zupełnie zbiło go z pantafelku.

- Sądziłem, że dajesz mi wybór.

Widział jej uśmiech i poczuł tę samą słodycz, która ogarnęła go, gdy przytulił niemowlę.

- Chciałam być uprzejma.

Podszedł do okna i popatrzył na przystań. Żeglarstwo nigdy go nie pociągało, ale kołysane przez fale łodzie działały uspokajająco.

- A jesteś po prostu wścibska.

Nie powiodła się próba zawstydzenia jej.

- Faktycznie, czasami mi to zarzucają. Spojrzał na nią przez ramię.

- Jednak nie zdołali cię tego oduczyć.

- Nie.

Zapatrzył się na port. W szybie widział odbicie Maddy. Wziął głęboki oddech.

- Ponad dwa lata temu, w sylwestrową noc, moja żona zginęła w wypadku samochodowym. Właśnie zdecydowaliśmy się na dziecko.

Zrobiło jej się przykro.

- Jak sobie z tym radzisz?

Lekko wzruszył ramionami. Przede wszystkim próbował o tym za często nie myśleć.

- Jakoś mi idzie.

Miała na ten temat nieco odmienne zdanie.

- Jesteś tego pewien? Zaczynał tracić cierpliwość.

- Moja pani, dla mnie jedyną pewną rzeczą jest to, że słońce wciąż wschodzi, nawet jeśli ja uważam to za zbędne. - Przeszedł przez pokój i podał jej synka. Na Boga, czemu w ogóle tu przychodził?

- Czuję się podobnie, gdy zginął Johnny - odparła zupełnie nie spieszona złością, która malowała się na twarzy J.T.

- Ale ci przeszło - zauważył, wkładając w swoją odpowiedź tyle sarkazmu, by zabrzmiało to jak wyzwanie.

Wiedziała, że zawsze będzie odczuwać ból i tęsknotę za mężczyzną, który dla niej tyle znaczył; który razem z nią stworzył nowe życie i zostawił jej część siebie.

- Nie - odpowiedziała spokojnie. Była bardzo poważna. - Jednak uświadomiłam sobie, że John pragnąłby, abym żyła dalej. Zbyt mnie kochał, by chcieć oglądać mnie pogrążoną w żałobie i rezygnującą z życia. Gdyby stało się odwrotnie, też wolałabym, by nie umarł z powodu mojej śmierci. No, oczywiście najpierw powinien za mną trochę popłakać - dodała z uśmiechem, ale po chwili znów spoważniała. - Jednak przede wszystkim pragnęłabym jego szczęścia.

Lorna była równie bezinteresowna. Tylko jakie to miało teraz znaczenie?- Co za różnica, czego pragnęłaby dla niego?- Był, jaki był i czuł, co czuł. Jak ktoś, kto każdego dnia przedziera się przez piekło.

- Cóż, to nie zawsze działa w ten sposób. Zdziwił się, kiedy wzięła go za rękę.

- Ale mogłoby. Trzeba tylko chcieć.

- W tym właśnie problem. - Zdecydowanie cofnął rękę. - Ja chyba nie chcę.

Do diabła, czemu pozwolił wciągnąć się w tę rozmowę? Ta kobieta jest mu przecież całkiem obca, zatrzymał się przy niej tylko z poczucia obowiązku. Czemu więc tak się przed nią

odkrywać Dlaczego mówi jej o planach, jakie mieli z Lorną?-  
Wściekły na siebie, postanowił jak najszybciej skończyć wizytę.

- Muszę już wracać.

Nie chciała, żeby wychodził, szczególnie w takim stanie. Co jednak mogła zrobić^

- Wpadniesz znowu4 - Tylko to przyszło jej do głowy.

Teraz na pewno znajdzie jakąś wiarygodną wymówkę.

- Myślałem, że cię jutro wypisują? - Szpitale zwykle odsyłały pacjentki do domów po dwóch dniach, jeśli nie było żadnych komplikacji.

- Właśnie - przytaknęła, zadowolona z pomysłu, który wpadł jej do głowy. - Mógłbyś nas odwiedzić do domu.

Na to nie był przygotowany.

- Niby dlaczego ja? - spytał całkiem zbity z tropu.

- Bo jesteś bohaterem Johnny'ego - odparła spokojnie.

Zniecierpliwiał się. Nie chciał od niej podziękowań ani tym bardziej hymnów pochwalnych.

- Nie skończył nawet jednego dnia życia. Trudno, żeby miał już swoich bohaterów.

- Na to nigdy nie jest za wcześnie - odpowiedziała wesoło. Za wszelką cenę musi go

wywlec z tych otchłani czarnej rozpacz. - Poza tym byłeś pierwszym człowiekiem, którego ujrzał na świecie.

J.T. zatoczył ręką krąg.

- Kiedy wszedłem, było w tym pokoju więcej ludzi niż na niejednym festynie. Dlaczego ktoś z nich nie mógłby cię zabrać do domu?

Uniosła głowę.

- Bo proszę o to ciebie - odparła spokojnie. Zrezygnowany pokręcił głową. Gotów był się zgodzić na wszystko, byle tylko skończyć te słowne przepychanki.

- Zawsze jesteś taka przebojowa? Zwyciężyłam, pomyślała z radością.

- Zawsze. Jestem najmłodsza z rodzeństwa. Gdyby nie silne łokcie, nawet by mnie nie zauważyli. Nie miałabym szans... Nie uwierzył. Coś mu mówiło, że Maddy zawsze była w centrum uwagi.

Westchnął. Co mu szkodzi? Zajmie mu to raptem dwadzieścia minut. Odwiezie ją do domu i na tym skończy się jego udział w całej historii.

- No cóż. Przywiozłem cię tutaj, myślę więc, że mogę też odstawić cię do domu.

Co dziwne, podjęcie tej decyzji wcale go nie zdenerwowało, chociaż tego właśnie oczekiwał.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lorraine *Rossini* wymieniła z synami porozumiewawcze spojrzenia. Z westchnieniem położyła samochodowy fotelik dziecięcy na jaskrawo-niebieskim szpitalnym krześle.

- Każde z nas mogłoby cię odwiedzić do domu - powiedziała podniesionym głosem, nie próbując ukryć rozczarowania. - Co ci przyszło do głowy, żeby prosić o to kompletnie obcego człowieka? No wiesz!

Przez cały wieczór Maddy próbowała dodzwonić się do rodziców, jednak nie udało jej się złapać matki. Krążyła zapewne z wieścią o wnuku po wszystkich krewnych, których wczorajszego popołudnia zabrakło w pokoju szpitalnym.

Rodzice byli prawdopodobnie jedynymi ludźmi w okolicy, którzy nie zafundowali sobie automatycznej sekretarki. W końcu Maddy nagrała wiadomość na

sekretarkę Tony'ego, jednego z braci, ale jak widać, nikt jej nie odsłuchał.

- Kiedy właśnie on wcale nie jest „kompletny”.

- Maddy posłużyła się słowami matki, by wyrazić swoje zdanie o J.T. - Wiele mu brakuje i chyba właśnie dlatego to jego poprosiłam o przysługę.

- Oho, zdaje się, że wrócił syndrom opiekunki porzuconych kociąt - ironicznie zauważył jej najstarszy brat. Przestał nerwowo przemierzać pokój i zatrzymał się przy łóżku.

Dawno już wyrosli z lat dzieciennych, które upłynęły im na ciągłej rywalizacji i walkach o pierwszeństwo. Od dawna też potrafili nie tylko dogadać się we wszystkich sprawach, ale także zgodnie prowadzić rodzinną firmę. Bracia jednak nadal widzieli w Maddy smarkulę, którą należy traktować pobłażliwie i patrzeć przez palce na jej szczeniackie wybryki.

już chciała zaprotestować, kiedy przyszło jej do głowy, że być może Bill ma rację. Nie warto wdawać się w dyskusję, czy użył właściwego określenia.

- John Thomas ponad dwa lata temu stracił żonę - zwróciła się do matki i natychmiast ujrzała błysk żalu w jej piwnych oczach.

Mało kto potrafił tak współczuć ludziom, jak jej matka.

- Podobnie przeżywaliśmy stratę bliskiej osoby, tylko on nadal nie potrafi otrząsnąć się z bólu.

Joe, młodszy z braci, wydawał się rozumieć jej intencje. Był od Maddy starszy zaledwie o trzynaście miesięcy i zawsze świetnie się dogadywali.

- A ty koniecznie chcesz mu w tym pomóc? Prychnęła. Nie zamierzała wysłuchiwać ich

pouczeń. Jej zdaniem zawsze zachowywali nadmierną ostrożność. Tak samo zachowywali się w pracy. Była jedyną osobą w firmie, która starała się wprowadzać zmiany, stosować jasne, radosne, czasem trochę szokujące połączenia kolorów.

- Co w tym złego, że staram się wyjść mu naprzeciw?

- Obyś się tylko nie potknęła - ostrzegł Bill, jak zwykle bardzo pragmatyczny.

Wszyscy mieli jak najlepsze chęci i chodziło im wyłącznie o jej dobro. Kiedy zginął Johnny, otoczyli ją opieką jak najszczelniejszą zbroją. Bez nich na pewno by zginęła.

- W razie czego pomożecie mi się podnieść. Jesteście wszyscy tak blisko, że wystarczy jeden telefon.

- Nawet bliżej, jeśli tylko zechcesz - wyrwał się Joe zapatrzony w siostrzeńca jak w obraz. Ciągłe był kawalerem i na razie nie planował założenia własnej rodziny, bardzo mu więc odpowiadała rola wujka.

Maddy kochała ich ogromnie, ale trochę ją przytłaczali, a ona potrzebowała przestrzeni.

- Na razie dam sobie radę sama, ale dziękuję. Lorraine zaśmiała się pobłażliwie.
- Ciekawe, czy powiesz to samo, gdy nadejdzie pora karmienia o drugiej w nocy.
- Chyba nie... - przyznała Maddy. W pierwszej chwili Lorraine zamierzała wprowadzić się do córki na przynajmniej dwa tygodnie, kiedy jednak Maddy stanowczo zaoponowała, ustaliły w końcu, że będzie tylko zostawać na noc. Maddy nie miała wyjścia. Gdyby nie wyraziła zgody, ryzykowała, że matka rozbije namiot pod jej drzwiami.
- Zresztą sama będziesz mogła się o tym przekonać, prawda?
- I przekonam się na pewno. No dobrze, idziemy, bo znów wystraszymy tego policjanta
- zwróciła się do synów i popchnęła obu znacznie od siebie wyższych mężczyzn w stronę drzwi.
- Wczoraj wyglądał, jakby miał ochotę czym prędzej stąd czmychnąć.
- A ciebie nie przeraziłby taki tłum? Zresztą, po prostu nie chciał przeszkadzać - Maddy stanęła w obronie J.T. - Zachowaj to unoszenie brwi na lepsze okazje - zwróciła się do Billa. Ucałowała każdego z braci na pożegnanie i uśmiechając się do matki, rzuciła: - Widzimy się wieczorem.
- Bez wątplenia - mruknęła Lorraine, wychodząc z pokoju.

J.T. zapukał do drzwi dwadzieścia minut później. Kiedy wchodził do pokoju, minę miał równie sceptyczną, jak poprzedniego dnia. Maddy już na niego czekała. Spakowana walizka stała na podłodze, dziecko smacznie spało w biało-niebieskim nosidełku.

Przyszedł, bo tak obiecał, jednak wątpliwości wcale go nie opuściły.

- Na pewno nie wolałabyś jechać z kimś z twojej licznej rodziny^

- Na pewno. - Zadzwoiła po pielęgniarkę, która miała przyprowadzić obowiązujący wszystkie pacjentki wózek. - Robią takie zamieszanie, jakbym była inwalidką - narzekała, patrząc na niego z lekką kpina. - Wydaje mi się, że ty nigdy nie wpadasz w panikę.

- Bo nie mam powodu.

Rozejrzał się po pokoju. Wszędzie stały kwiaty. Przez chwilę opadły go wątpliwości, czy nie powinien wczoraj pojawić się z bukietem. Bzdura, uspokoił się szybko. Nie przyszedł przecież z przyjacielską wizytą, a zresztą i tak zginęłyby w tym morzu roślin...

Przez moment zastanawiał się, jak powinien określić znajomość z Maddy, skoro to nie była przyjaźń. Nie, to bez sensu. Po co mu prowadzić takie bezsensowne rozważania 4 Musi skoncentrować się na chwili bieżącej, zrobić to, o co

poprosiła go Maddy. Potraktuje to jak kolejne zadanie, a potem skreśli w kalendarzu kolejny mijający dzień.

- Chcesz je zabrać ze sobą? - spytał, wskazując wspaniałe bukiety.

Maddy uśmiechem powitała pielęgniarkę, która właśnie Weszła; z jej pomocą usiadła w wózku i wzięła na ręce synka.

- Nie, prosiłam już siostry, żeby rozstawiły je w szpitalnych pokojach. Przyznasz chyba, że robi się weselej, gdy dokoła są kwiaty.

Na grobie Lorny było ich pełno. Nie widział w tym nic wesołego.

- Nie - odparł ponuro.

Jego spojrzenie ostrzegło ją, że powinna zmienić temat.

- Nie zapomnij o foteliku samochodowym

- zwróciła mu uwagę, widząc, że w rękę trzyma tylko walizkę.

Cofnął się szybko do pokoju.

- Czy twój szef nie miał żadnych obiekcji?

- spytała, gdy dołączył do nich na korytarzu i ruszyli w stronę windy. J.T. dziękował Bogu, że przynajmniej pielęgniarka się nie odzywa.

- Skąd ten pomysł? - zdziwił się.

- Chyba musiałeś się zwolnić, żeby tu przyjechać. Czy taki Drzwi windy rozsunęły się. J.T. zasłonił dłonią fotokomórkę, żeby pielęgniarka mogła

bezpiecznie i bez pośpiechu wtoczył wózek z pacjentką do kabiny.

- Mam teraz wolne - odparł, wsiadając za nimi i wciskając guzik z oznaczeniem parteru. - Zapomniałaś, że pracuję na nocną zmianę<sup>1</sup>?

- Zawsze masz służbę w nocy? Ależ ze mnie szczęściara. - Uśmiechnęła się i odwróciła głowę do pielęgniarki. - To on odebrał dziecko. Zaczęłam rodzić, a mój samochód odmówił posłuszeństwa na środku drogi.

Pielęgniarka spojrzała na J.T. ze szczerym podziwem.

- Faktycznie, miała pani szczęście - zgodziła się. Nie lubił znajdować się w centrum uwagi bez względu na powody. Wzruszył ramionami.

- To samo zrobiłby każdy inny patrol.

Na drugim piętrze do windy wsiadło dwoje ludzi. Maddy podniosła oczy na J.T.

- Zawsze uważasz, że szklanka jest do połowy pusta, co?

Co ją obchodzi jego podejście do życia i czemu, na Boga, zadaje mu takie pytania w obecności innych ludzi?- Bał się, że milcząc, sprowokuje Maddy do dalszych pytań, postanowił więc udawać, że zgadza się z jej opinią. Zresztą, czy rzeczywiście tak bardzo udawał?

- Do połowy pusta, brudna i na dodatek pęknięta. Tak właśnie uważam.

Maddy pokiwała głową. Spodziewała się dokładnie takiej odpowiedzi. Miała wrażenie, że trafiła na problem jakby specjalnie dla niej stworzony. Była gotowa zmierzyć się z tym zadaniem i doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

Odstawiając wczoraj auto, właściwie w ogóle nie zwrócił uwagi na otoczenie. Maddy mieszkała w piętrowym domu, jakby z rozmysłem zbudowanym dla dużej, wielodzietnej rodziny.

Zatrzymał samochód i rozejrzał się wokół.

- Tu mieszkasz?

- Tak - odparła zdziwiona. O co chodzi, przecież był tu wczoraj...  
Spojrzał na nią uważnie.

- Sama?

Teraz już nie, pomyślała.

- Czemu pytasz? Nie podoba ci się? Kochała ten dom, wszystkie jego kąty. W każdym pokoju, każdym zakamarku kryło się wiele wspomnień. Zamieszkali tu ponad pięć lat temu, zaraz po ślubie. Johnny nie wtrącał się, kiedy urządzała wnętrza. Zawsze twierdził, że na jego smaku można polegać wyłącznie w kuchni. J.T. wzruszył ramionami. Chyba zgubiłby się tu zaraz po przekroczeniu progu. Dawno sprzedał dom, który kupili razem z Lorną, i zamieszkał



w mieszkaniu, gdzie stały tylko najniezbędniejsze sprzęty:  
lodówka, stół, łóżko i komoda.

- Wydaje się zbyt duży dla jednej osoby.

- Teraz jest nas dwoje - poprawiła go, patrząc na tylne siedzenie,  
gdzie drzemał jej synek.

Chciała już wejść do środka. Nie mogła się doczekać, żeby  
ułożyć dziecko w ozdobionej licznymi falbankami kołysce, którą  
obdarowała ją matka. Sięgnęła do klamki, ale J.T. przytrzymał jej  
dłoń.

- Poczekaj moment - poprosił. - Nie powinnaś sama wysiadać -  
wyjaśnił, widząc jej zdziwione spojrzenie. - Jesteś jeszcze  
osłabiona.

Nie przypuszczała, że potrafi grać rolę rycerza.

- Chyba za mało mnie znasz. - Najwyraźniej zamierzała  
sprostować jego błędną opinię na swój temat.

Zgoda, nie znał jej. Ale też wcale nie chciał jej poznawać.

Obiecał odwiedzić ją do domu i na tym kończyła się jego rola.

Potem każde z nich pójdzie swoją drogą. Tak będzie, bo właśnie  
tego chciał.

- Może i jesteś silna, ale nienawidzę niepotrzebnego ryzyka.

Siedź tutaj. - Zabrzmiało to jak rozkaz, nie prośba. Okrążył  
samochód i energicznie otworzył drzwiczki. - No, teraz możesz  
wysiadać.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Tak jest!

Jej uśmiech zbladł trochę, kiedy się podniosła i nagle świat wokół niej zawirował. Oszołomiona chwyciła J.T. za ramię. Poczowała, jak ją obejmuje i przyciąga do siebie, pomagając zachować równowagę.

Wiedziała, że przyczyną fali ciepła, która ją ogarnęła, nie było grożące jej omdlenie, lecz mężczyzna, który mu zapobiegł. Zaczerpnęła powietrza i uniosła głowę.

- Zdaje się, że miałeś rację.

- Rzadko się mylę - odparł ze stoickim spokojem i bardzo poważnie.

Znów się uśmiechnęła.

- Spróbuję to zapamiętać.

Nie powinien jej tak obejmować, bez względu na okoliczności. Nie podobała mu się taka poufałość ani fakt, że czuł się w tej chwili po prostu cudownie.

- Możesz już stać o własnych siłach<sup>^</sup> Nogi przestały się pod nią uginać.

- Tak.

Naprawdę nie chciał trzymać jej w ramionach. Nie miał pojęcia, co go opętało. Może to jej bliskość, a może niezwykle podobieństwo do Lorny.

Może też zbyt długo był samotny. Jedno nie ulegało wątpliwości: Maddy nie miała na to żadnego wpływu, nie o nią tu chodziło.

I choć z pewnością nie potrafiłby podać ani jednego rozsądnego powodu, zrobił to.

Pochylił głowę i delikatnie musnął wargami jej piękne usta.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

Przez chwilę toczył wewnętrzną walkę. Instynkt samozachowawczy kazał mu się wycofać, pożądanie popychało go do działania. Nim zdążył się opamiętać, pocałunek rozkwitł, pogłębił się. J.T. poczuł w piersi ucisk, który odbierał mu oddech. Jej usta były takie słodkie, tak łatwo było się zapomnieć. Kusiło go, żeby się temu poddać. Tak długo nic nie czuł, od tak dawna jego życie wypełniały tylko cienie.

Pogłaskał jej twarz, gładził dłonią jej gorącą skórę. Pamiętał, że kiedyś, w innym życiu, wszystko było inaczej.

Do diabła, co ja wyprawiam! - opamiętał się. Rzeczywistość podziałała na niego jak zimny prysznic. Jeszcze nigdy w życiu nie postąpił pochopnie, nie pozwalał, by kierowały nim uczucia. Na Boga, przecież dawno wyzbył się

wszelkich podobnych emocji! I nigdy, przenigdy, im nie ulegał!  
A jednak... Wystarczył moment, żeby zaprzeczyć tym wszystkim twierdzeniom.

Wstrząśnięty i wściekły na siebie, opuścił rękę i cofnął się o krok.  
- Maddy, przepraszam cię bardzo... - Nie miał pojęcia, jak się tłumaczyć.

Poruszył w niej jakąś strunę, przypomniał, że nie zawsze była wdową i nie tak dawno jeszcze wzbudzała pożądanie. Zauważyła jego zażenowanie. Zawstydził się jak dziecko przyłapanie na potajemnym wyjadaniu ciasteczek.

W jej oczach pojawił się uśmiech.

- Dlaczego? Czyżbym zionęła cebulą? Patrzył na nią bez słowa.

Dopiero po chwili

zrozumiał, że próbuje żartem pokryć ich obopólne zmieszanie.

- Nie, to znaczy... Nie chciałem, żeby to się zdarzyło.

Chyba słusznie podejrzewała, że John Thomas Walker nigdy nie zrobiłby czegoś wbrew sobie. W tej chwili na pewno był zły, ponieważ miał ochotę ją pocałować. Uważał to za karygodny błąd. Była w stanie go zrozumieć, bo sama przez to przeszła. Wiedziała, że tak wygląda pierwszy krok, który prowadzi do pogodzenia się z faktem, że nadal żyjesz, choć osoba, którą kochałeś, odeszła.

- Czasami dobrze jest postępować spontanicznie. - Nie chciała, żeby czuł się niezręcznie. - Nie masz za co przepraszać. Przecież do niczego mnie nie zmuszałeś. - Patrzyła mu prosto w oczy. - Nie pocałowałbyś mnie, gdybym i ja tego nie chciała.

Zaśmiał się sucho. Żarty sobie z niego stroi?-

- Przed momentem przekonałem się, jaka jesteś silna. Nie poradziłabyś sobie nawet z pchłą.

Miała świadomość, że jej nie zrozumiał. Nie zdawał sobie sprawy, jak dobrze go już poznała. A może wolał tego nie wiedzieć.

- Nie to chciałam powiedzieć. Nie musiałabym używać siły. Nie wobec ciebie, bo ty nigdy nie zmuszasz kobiet do robienia czegoś, na co nie mają ochoty.

Zmarszczył brwi. Nie powinna tak bardzo ufać ludziom. Nic dziwnego, że rodzina bała się ją spuścić z oka. Tak, powinni nad nią czuwać, bo gotowa zrobić jakieś głupstwo.

- Znasz mnie zaledwie od dwóch dni. Skąd możesz wiedzieć, jakim jestem człowiekiem? - To, że noszę mundur...

Potrząsnęła głową. Znów ją źle zrozumiał.

- Mundur nie ma tu nic do rzeczy. To można dostrzec, patrząc uważnie na człowieka.

Próbował zwalczyć ogarniające go, znajome uczucie ciepła.

Musiał pamiętać, że była zaledwie przypadkową znajomą.

No, tak, zaśmiał się w duchu. Przed chwilą całowałaś tę przypadkową znajomą.

Prychnął lekceważąco, słysząc jej wyjaśnienie.

- Wyczytałaś to z dłoni czy z fusów? Wiedziała, że będzie próbował ją zbyć, ale nie zamierzała mu na to pozwolić.

- Stosuję o wiele precyzyjniejsze metody. Słyszałeś chyba, że oczy są zwierciadłem duszy? - A twoje w dodatku są piękne, pomyślała.

Dusza. Już dawno w nią nie wierzył. Pozostała mu jedynie wiara w ból i cierpienie. Bezkresne, wszechobecne, nie znające granic i wieczne...

- Nie mam duszy. Straciłem ją dwa lata temu. Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. Tuż pod gniewem krył się smutek.

- Czyli już najwyższa pora, byś ją znów odnalazł.

Niemowle w samochodzie zaczęło popłakiwać.

- Moim zdaniem raczej najwyższa pora, żebyś weszła z dzieckiem do domu.

Tym razem postanowiła go posłuchać.

J.T. opuścił dom Maddy pół godziny później. Idąc do samochodu, złożył sobie solenne przyrzeczenie, że nie zobaczy jej więcej. Teraz zresztą nie miał już żadnych powodów, by się z nią spotykać.

Właściwie dotrzymał słowa. No, może poza tym jednym przypadkiem, kiedy przejechał koło

jej domu, patrolując okolicę, która, powiedzmy otwarcie, nie należała do jego rewiru.

Kusiło go tamtego popołudnia, żeby zajrzeć do Maddy chociaż na chwilę. Tylko, jak miałby to wytłumaczyć? Zaraz by go przejrzała, gdyby stanął w progu, mamrocząc, że wpadł dowiedzieć się, co słyhać. Poza tym przecież nie chciał się angażować. W nic i z nikim.

Nigdy dotąd nie czuł się tak zaskoczony, jak półtora tygodnia później, kiedy do wozu patrolowego przełączono prywatną rozmowę telefoniczną.

Zapomniał już, jak bardzo melodyjny jest głos Maddy.

- W jaki sposób udało ci się uzyskać połączenie? - spytał ostro, przybierając oficjalny, służbowy ton.

Długo czekała cierpliwie na wizytę Johna Thomasa. W końcu postanowiła wziąć sprawy we własne ręce. Nie pozwoli, aby znowu schronił się w swoim pancerzu.

- Przedstawiłam się w centrali jako twoja siostra i powiedziałam, że to sprawa niecierpiąca zwłoki. - Nie musiała widzieć jego miny, żeby zdawać sobie sprawę, co myśli. Trudno, czasem cel uświęca środki. - Przepraszam. Wiem, że to niezgodne z przepisami, ale inaczej nie miałam szans skontaktować się z tobą.



J.T. westchnął, celowo omijając wzrokiem partnera. Domyślał się, że Fenelli spogląda na niego z dumą właściwą ojcu, którego syn wreszcie dojrzał i idąc za radą rodzica, rozpoczął dorosłe życie.

- Dobra, udało ci się. Co to za nagła sprawa?

- Chcę cię prosić, żebyś został ojcem chrzestnym Johnny'ego. -

Szcześliwa, że od razu nie rzucił słuchawki, mówiła dalej: -

Chrzest odbędzie się w najbliższą niedzielę, w kościele św.

Marka na Alton, o drugiej. No, powinnam już kończyć. Zadzwoń do mnie.

Oszołomiony patrzył na słuchawkę, z której przed chwilą dobiegał głos Maddy. W tej chwili słychać było tylko ciągły sygnał. Niewiarygodne. Przełknął przekleństwo i odłożył słuchawkę, wkładając w to odrobinę więcej siły, niż było konieczne.

J.T. nie musiał nawet patrzeć na partnera, aby widzieć, że na jego twarzy pojawił się szeroki, promienny uśmiech.

- I co powiesz? - spytał Fenelli.

J.T. zapatrzył się w ciemność przed sobą.

- Nic.

Fenelli zaśmiał się.

- To „nic” ma bardzo zmysłowy głos.

Od czterech lat byli partnerami. Kiedy J.T. postanowił wziąć nocną służbę, Fenelli natych-

miast zgłosił chęć towarzyszenia mu, chociaż Walker tłumaczył starszemu koledze, że nie ma takiej potrzeby. Nagle uświadomił sobie, że Fenelli pod wieloma względami jest podobny do Maddy.

- To długa historia - odparł wymijająco. Ulice były puste i ciemne. Zaspane, jak mieszkańcy domów, które mijali.

- Mamy czas, a ja lubię długie historie.

- Tak, wiem. Ciagle je opowiadasz - prychnął ze złością J.T.

Jednakże Fenelli był odporny na takie zaczepki. Wychowywał się w dużej rodzinie, miał sześcioro rodzeństwa i skórę grubą jak nosorożec. Nie sposób było go obrazić.

- No, to przyszła kolej na ciebie.

J.T. wiedział, że partner nie odpuści, postanowił więc w skrócie przedstawić mu wydarzenia tamtej nocy.

- Tego wieczoru, kiedy leżałeś chory, pomagałem tej kobiecie w porodzie. - Spojrzał na partnera z wyrzutem. - Gdybyś wyjechał ze mną na patrol, ty odbierałbyś dziecko.

Fenelli, w przeciwieństwie do J.T. był urodzonym optymistą, twierdził nawet, że dzięki temu mogą ze sobą wytrzymać. A poza tym wierzył w przeznaczenie.

- Nic się nie dzieje bez powodu. Pewno los

chciał, żebym tego dnia nie pracował. Nie przyszło ci to do głowy

- Nie - odburknął J.T. Skłamał. Myślał przecież o tym od półtora tygodnia, za każdym razem, gdy przypominał sobie Maddy. Jednym słowem, znacznie częściej, niżby sobie tego życzył. Ciągle też nękała go uporczywa myśl, że jego życie nie skomplikowałyby się tak bardzo, gdyby Fenelli nie zachorował na gripę.

Następnego ranka wybrał się do Maddy. Będzie musiała znaleźć innego ojca chrzestnego. Po drodze powtarzał sobie starannie ułożone przemówienie. Jednakże, kiedy ją ujrzał w drzwiach, wszystkie słowa nagle ulotniły się.

Stała na progu w niebieskiej bawełnianej sukience, która na innej kobiecie wisiałaby jak worek, u niej zaś podkreślała kształty, których półtora tygodnia temu nawet nie podejrzewał. Gdyby nie dziecko na ręku, trudno byłoby poznać, że dopiero co chodziła w ciąży.

Nie zapięła jednego z białych guziczków i w rozcięciu sukienki dostrzegł jej pełne, kształtne piersi. Zdał sobie sprawę, że gapi się na nią jak sroka w gnat, więc czym prędzej podniósł wzrok.

Właśnie skończyła karmić synka. W duchu pogratulowała sobie takiego wyczucia czasu. Otworzyła szerzej drzwi, zapraszając J.T. do środka.

- Miałam nadzieję, że wpadniesz.  
- Dlaczego ja? - Przeszedł do sedna sprawy, kiedy tylko odzyskał głos.

- Bo to ty przyszedłeś mi z pomocą. Bo byłeś pierwszą osobą, którą zobaczył Johnny. Bo chcę znaleźć pretekst, żeby nadal widywał cię od czasu do czasu - wymieniła jednym tchem, zamykając drzwi.

Przykro mi, ale nie może być o tym mowy. Nie. W żadnym wypadku. To wszystko zamierzał powiedzieć. Teraz jednak wcisnął tylko ręce do kieszeni. Czuł się dziwnie bezsilny w obecności tej kruchej kobiety.

- Jakie są właściwie obowiązki ojca chrzestnego?

Okazuje się, że to nie takie trudne, jak przewidywała. Ułożyła Johnny'ego na ramieniu i delikatnie poklepując jego plecki, czekała, aż się dziecku odbije:

- Formalne czy rzeczywistej

Patrzył na nią ponuro, powtarzając sobie w duchu, że musi ją traktować bezosobowo. Nie takie to proste, pomyślał. Łatwiej byłoby mu chyba zwyciężyć w konkursie piękności.

- Formalności mnie nie interesują.

- A więc powinieneś wpaść od czasu do czasu i pograć z nim w piłkę. Może czasem zabrać go na mecz. Pamiętać o urodzinach i Gwiazdce. Pokazać

mu, jaki byłby jego ojciec, gdyby żył. Chcę, żeby Johnny był dumny, że miał ojca policjanta. - Rysy jej złagodniały na wspomnienie o mężu.

Pragnął odmówić. Zdawał sobie sprawę, jak skomplikuje sobie życie, jeśli się zgodzi. Jednak tym razem słowo „nie” nie wydawało się tak łatwe do wypowiedzenia jak zawsze. I wcale nie chciał analizować, czemu tak się dzieje.

- Nie pomyślałaś, że mogę być innego wyznania niż ty i twój syn? Przepisy prawa kanonicznego były nieubłagane, ale zawsze można było znaleźć sposoby, aby je ominąć. Liczyła na to, że w ogólnym rozrachunku drobne kłamstwa zostaną jej wybaczone. Bądź co bądź, ratowała ludzką duszę, a co najmniej przywracała człowieka do życia. Jej w trudnych chwilach pomogła rodzina. J.T. natomiast, jak zdążyła się zorientować, nie miał nikogo.

- W sprawach związanych z religią Johnny zawsze może liczyć na swoich wujków - odrzuciła jego argument.

Czyżby znalazł wyjście z tarapatów? - Chyba może również grać z nimi w piłkę? - powiedział z nadzieją. Roześmiała się.

- Od razu widać, że nie znasz moich braci. Są znakomitymi projektantami wewnątrz, każdy z nich ma świetne oko, jeśli w grę wchodzi kolory

i proporcje. Nie mają jednak pojęcia, co zrobić z małym okrągłym przedmiotem rzuconym w ich stronę. - Odwróciła niemowlę tak, że śliczna dziecięca buzia znalazła się tuż przy twarzy J.T. - Sam powiedz, potrafisz mu odmówić? Delikatnie przypomniała mu, że robi to dla dziecka, nie dla niej. Jednak J.T. w głębi duszy wiedział, że jego zgoda nie ma nic wspólnego z tym malcem. - Masz rację. Nie potrafię.

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

W niedzielę J.T. czuł się fatalnie. Czemu właściwie dał się uwikłać w całą tę historię? Po południu jak lunatyk wsiadł do auta i pojechał do kościoła. Ciągłe się zastanawiał, lecz nie umiał sobie wytłumaczyć, jak to się stało, że wyraził zgodę, aby zostać ojcem chrzestnym dziecka Maddy. Nie nadawał się przecież zupełnie do tej roli.

Pocieszał się trochę, że rodzice chrzestni nie muszą się specjalnie udzielać. Swoich na przykład w ogóle nie mógł sobie przypomnieć. W jego życiu ojciec chrzestny na pewno nie odegrał znaczącej roli. Trzeba przez to przejść, przetrwać uroczystość i na tym wreszcie zakończyć całą sprawę. Tym razem definitywnie.

Uderzyło go, że takich samych sformułowań użył poprzednio, myśląc o Maddy. No tak, jednak

tym razem będzie się trzymał swoich postanowień. Na pewno. Z ciężkim westchnieniem skręcił w prawo za skrzyżowaniem i wjechał na przykościelny parking. Poczł ucisk w gardle na widok znajomego budynku. To oczywiście zbieg okoliczności, ale czemu Maddy musiała wybrać akurat ten kościół? Właśnie u Św. Marka brali z Lorną ślub. Tu także, dwa lata temu, odbyła się msza żałobna.

Od tamtego dnia nie przyszedł tu ani razu. Wiarę i duszę pogrzebał w tym samym grobie, w którym złożył żonę. Wziął się w garść, wysiadł z samochodu i pokonał kilka kamiennych schodków. Przed drzwiami czekał na niego mężczyzna, którego widział wcześniej w szpitalu w pokoju Maddy. Na oko wydawał się o kilka lat starszy od J.T. i parę centymetrów wyższy.

- Cześć, jestem Bill. Czekają na ciebie - powiedział, chwytając J.T. za ramię.

Nie znoził, kiedy go dotykano. Zdecydowanie wyszarpnął rękę.

- Skąd wiesz, że jestem właściwą osobą?

- Maddy cię opisała.

Stłumił pokusę, żeby rozwinąć temat. Intrygowało go, co też mogła powiedzieć.

Chrzcielnica była po lewej stronie od wejścia. Na co dzień od głównej nawy odgradzała ją



ozdobna, wykuta z żelaza krata, którą dziś otworzono. Wokół stanęła grupka ludzi z księdzem pośrodku. Maddy trzymała na rękę syna, w białym ubranku. Za duże skarpetki sięgały malcowi aż za kolanka.

Uśmiechem powitała J.T. Najwyraźniej czekali już tylko na niego.

- Prawie uwierzyłam, że zmieniłeś zdanie - szepnęła, podając mu dziecko.

- Zmieniłem - odparł. - Dlatego przyszedłem. W oczach duchownego J.T. zauważył błysk

rozpoznania, lecz nie zdradził się, iż pamięta, że ten sam ksiądz prowadził nabożeństwo żałobne, a potem modlił się nad grobem Lorny. Zresztą, jakie to teraz ma znaczenie?

Nie było powodu, żeby odświeżać kontakty ani z tym człowiekiem, ani z instytucją, którą reprezentował. J.T. dawno pogrzebał tę część swojej osobowości, której zależało na tak zwanym życiu duchowym.

Co go skłoniło, żeby tu przyjść i udawać, że zgadza się stanąć na straży nieśmiertelnej duszy tej maleńkiej niewinnej istoty, że gotów jest recytować chłopcu słowa, którymi i jego karmiono od dziecka? Czyż nie taka jest rola ojca chrzestnego?- Nadawał się do tego w równym stopniu, jak niedźwiedź polarny do życia w tropikach, a może jeszcze mniej.

To wszystko jej wina, myślał, patrząc z ukosa na Maddy. Ale dość już tego. Wcześniej nie potrafił jej odmówić, jednak do niczego więcej nie da się zmusić. Bez względu na to, co jeszcze szykowała, może go spokojnie wykreślić ze swoich planów. Weźmie udział w ceremonii i na tym koniec.

Niestety, znów się przeliczył.

W gruncie rzeczy przeczuwał kolejną porażkę. Po ceremonii usłyszał, jak Bill i Tony rozmawiają o planowanym przyjęciu. Dadzą sobie radę beze mnie, pomyślał. Nie umawiał się z Maddy, że zostanie dłużej, a poza tym wcale nie zamierzał zadawać się z taką chmarą nieznajomych ludzi.

Cóż, kiedy Maddy udaremniła jego misterny plan ucieczki.

Ledwie ksiądz oddalił się, a już Maddy chwyciła J.T. pod rękę i poprowadziła do zaparkowanego przed kościołem auta. J.T. patrzył na dziecko wygodnie ułożone na drugim ramieniu Maddy i wyraźnie zadowolone z bliskości mamy. Mały wydawał się taki spokojny...

O sobie nie mógł tego powiedzieć. Na pewno nie był zadowolony... Tylko, na miłość boską, dlaczego dawał się jej prowadzić? Czemu nie odsunął się i nie odszedł?

Za żadne skarby nie przyznałby się nawet przed -sobą, że nie tylko nie sprawiało mu to przykrości, ale wręcz radowało...

- Dziękuję w imieniu Johnny'ego. Spojrzał na buzię chłopczyka. Zdawał sobie

sprawę, że w tym wieku dzieci nie uśmiechają się świadomie, teraz jednak wyraźnie widział, jak małe usteczka układają się do uśmiechu. To niemowlę zauroczyło go prawie tak samo, jak jego matka.

Za wszelką cenę próbował nie wypaść z narzuconej sobie roli.

- Wątpię, czy jemu robi to jakąś różnicę. Maddy wierzyła święcie, że niemowlęta zdają sobie sprawę z otaczającego świata w znacznie większym stopniu, niż to podejrzewają dorośli.

- Może jeszcze nie w tej chwili, ale ja to w każdym razie doceniam.

Ucałowała małą główkę i przypięła synka pasami do fotelika.

Johnny, którego płuca znacznie się już wzmocniły, gwałtownie zaprotestował.

Maddy podniosła oczy na J.T.

- Znasz drogę do „DiAngelo”?

Spojrzał na nią podejrzliwie. Całe życie spędził w Bedford i znał to miasto jak własną kieszeń, a może nawet lepiej.

- Czemu pytasz?

- Tam właśnie odbywa się przyjęcie - wyjaś-

niła z niewinną miną i wskazując dziecko, dodała: - Gość honorowy musi być na nim obecny, a wołałabym, żebyś ty nas odwiózł. W tę stronę jechaliśmy z Billem, lecz on prowadzi jak kierowca rajdowy. Chyba jeszcze nie wydorósł. Rozejrzał się po parkingu.

- A co z moim autem?

- Odwieziemy cię tu po przyjęciu.

- No, a Bill? Jak on się tam dostanie?

- Pojedzie z kimś innym.

Na wszystko potrafiła znaleźć odpowiedź. Jego zaś wyraźnie zawiódł refleks.

- Ale przede wszystkim, o jakim przyjęciu mówimy? - postanowił udąć głupiego.

Wyjaśniła mu wszystko, jakby rozmawiała z przybyszem z innej planety. Mówiąc do niego, miała w istocie wrażenie, że tak właśnie jest. Wprowadzając go na nowo w świat, zamierzała spłacić dług wdzięczności. Przynajmniej tyle mogła zrobić. Zresztą jej zdaniem mieli wiele wspólnego, łączyło ich to, że oboje przeżyli wielką tragedię.

- Takie spotkanie z okazji chrztu to przyjęty zwyczaj. Mama wpadła na pomysł, żeby urządzić je w restauracji. Unikniemy dzięki temu zmywania i sprzątnięcia. - Maddy uśmiechnęła się. na wspomnienie przerażonej miny matki, gdy Lorraine wyobraziła sobie bałagan pozostawiony przez kilkudziesięciu gości.

Odniósł wrażenie, że od chwili, kiedy ją poznał, ciągle musi podejmować próby, żeby się z czegoś wykpić.

- Hmm...

Wiedziała, co znaczy to chrząknięcie. Zamierzał odmówić.

- Będzie tylko najbliższa rodzina, wyłącznie goście obecni na chrzcie w kościele - wtrąciła pospiesznie, nie dając mu dojść do słowa.

Kątem oka widział ludzi, którzy w kościele zajmowali kilka ławek. Wcześniej nie wiązał ich obecności z chrztem Johnny'ego.

- Nie gryzą, naprawdę. Nie zrobili tego w kościele, nie pokasają cię i w restauracji. Obiecuję

- odezwała się prosząco.

Właściwie, co mu szkodzi zgodzić się jeszcze jeden raz?

Ciekawe, skąd ona bierze ten dar przekonywania? Swoją drogą, mogłaby spróbować zrozumieć jego stanowisko. Chociaż nie, to raczej on powinien wreszcie zdobyć się na odmowę.

Jednak, kiedy kręcąc bezradnie głową, spojrział na Maddy uważnie, w jego wzroku trudno by się dopatrzeć niezadowolenia.

- Chyba cię potwornie rozpieszczano w dzieciństwie?

- Rozpieszczano? Mnie? Skądże znowu.

- Uśmiechnęła się radośnie. Wiedziała, że zwycię-

żyła. - Na wszystko musiałam ciężko zapracować. Nie zauważyłaś jeszcze, że mam siłę, wytrzymałość i upór bullteriera?

Co jak co, ale to na pewno rzucało się w oczy.

Kłopot w tym, że widział znacznie więcej. Na przykład uśmiech, który zawsze najpierw rozjaśniał jej oczy, a dopiero potem pojawiał się na twarzy. Albo to, jak podnosiła na niego wzrok, kiedy chciała go do czegoś nakłonić.

Wystarczy! W jego życiu nie ma miejsca na uczucia, które nagle zaczęły dawać o sobie znać.

Nie ma najmniejszego powodu, żeby ją widywał i przebywał w jej towarzystwie. Przysiągł sobie, że nigdy więcej nie dopuści do sytuacji, w której okrutny przypadek może zniemacka złamać mu serce. Już raz przeżywał to piekło i nie chciał, by kiedykolwiek się powtórzyło. Nie zniósłby tego...

Jeśli znów wkroczę na zaminowany teren, będę potem mógł obwiniać wyłącznie siebie, pomyślał ponuro. Po czym, pełen poczucia winy, zabrał Maddy i Johnny'ego na przyjęcie.

- Wcale nie tańczysz.

Wybór miejsca przy stole, gdzie siedziała matka Maddy, okazał się strasznym błędem. Lorraine mówiła bez przerwy, chyba w ogóle nie potrzebowała przerwy na zaczerpnięcie oddechu.

Szczerliwie pan Rossini często zabierał żonę na parkiet, dzięki czemu J.T. miał czas na zebranie sił przed kolejnymi atakami jej gadulstwa.

Rozważał właśnie możliwość wymknięcia się z restauracji, kiedy zza krzesła dobiegła go cicha uwaga Maddy.

- Mam swoje powody - odparł.

Nie zważając na jego opór, chwyciła go za rękę.

- Opowiesz mi o tym na parkiecie.

- Maddy, ja nie tańczę - zaprotestował zdecydowanie.

Jego słowa zdawały się w ogóle do niej nie docierać.

- Ale ustać na nogach potrafisz, prawda? Zatrzymał się i popatrzył na nią zdziwiony. Ta kobieta była niepoprawna.

- Chcesz, żebym stał bez ruchu na środku sali?

- Przynajmniej na początku. - Zajęła się nim, jakby był manekinem. Jedną jego rękę położyła na swoich plecach, w drugą wsunęła dłoń. - Poddaj się muzyce. Zobaczysz, rytm cię porwie. Jednak to nie rytm go porwał, tylko ona. Grali właśnie wolną piosenkę, a Maddy była tak blisko, że czuł każdy jej oddech, gdy kołysała się w rytm melodii.

- Po prostu odpręż się - namawiała go. - Daję słowo, że nikt cię tu nie będzie oceniał.

Spojrzał na uniesioną twarz Maddy i przyłapał

się na tym, że musi walczyć z pragnieniem pocałowania jej. Ona chyba jest czarownicą!

- Nawet ty?

- Oczywiście - uśmiechnęła się ciepło. Nie miał nic do stracenia.

- Sama tego chciałaś.

Zamknął dłoń na jej palcach, ręką ułożoną w pasie przyciągnął ją do siebie. Co prawda rzeczywiście nigdy nie tańczył, jednak uznał, że woli przez kilka minut markować taniec, niż się z nią kłócić. Na parkiecie miał przynajmniej jakieś szanse, mógł zachować twarz. Natomiast podczas dyskusji z Maddy był z góry skazany na porażkę.

Maddy uniosła głowę i popatrzyła na niego z uśmiechem, który poruszał w nim najczulsze struny.

- Wiem o tym.

Zmusił się, żeby patrzeć ponad jej głową.

- A co na to twoja rodzina?

- Na co?

Na piersi czuł jej ciepły oddech, od którego zakręciło mu się w głowie.

- Co myślą o tym, że mnie wybrałaś na ojca chrzestnego?

- Pochwalili mnie za znakomity wybór. - Nie była to całkiem prawda, ale Maddy wiedziała, że w końcu najbliżsi przyznają jej rację.

J.T. wątpił w szczerść jej odpowiedzi, lecz



w żadnym razie nie zamierzał wdawać się w długą dyskusję. I tak pewno nie zdołałby wydobyć z tej kobiety prawdy.

- Na wszystko masz gotową odpowiedź, co? Roześmiała się.

- Och, po prostu jak dotąd zadajesz mi łatwe pytania, więc mogę czuć się bezpiecznie.

Ona jest bezpieczna, a co z nim? Jeszcze dwa tygodnie temu twierdził stanowczo, że jedyne uczucie, jakie może w sobie wzbudzić, to gniew. Teraz jednak szalały w nim emocje, których nawet nie próbował zrozumieć.

Uznał, że w tej sytuacji lepiej w ogóle się nie odzywać.

Najbezpieczniej będzie pójść za radą Maddy. Dlatego J.T. poddał się muzyce.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

Trzeba to natychmiast przerwać.

Powtarzał sobie te słowa przez trzy ostatnie miesiące. Przez ten czas grzął coraz głębiej w pułapce, w którą wpadł przez czysty przypadek. Dręczyły go coraz silniejsze uczucia. Chociaż zdawało mu się, że zdążył o nich zapomnieć, odżywały ze zdwojoną siłą.

Musiał przyznać, choć robił to bardzo niechętnie, że Maddy wprowadziła w jego życie trochę światła. Zmusiła go wręcz, by zaczął z nadzieją czekać na następny dzień. Fenelli też dostrzegał zmiany zachodzące w zachowaniu kolegi i rozpowiadał wokół, że łatwiej z nim teraz wytrzymać. Chociaż J.T. zarzucił partnerowi przesadę, w głębi serca przyznawał mu rację. Nie, Fenelli nie miał żadnych przywidzeń.

W tych przemianach, których nie mógł już

ignorować, tkwił największy problem. Bo przecież wcale nie chciał się zmieniać, nie chciał myśleć o przyszłości. Bał się odprężyć, gdyż uważał, że na takie właśnie chwile naszej nieuwagi czyha los. Potem atakuje z nienacka i odbiera wszystko, co nam wcześniej łaskawie podarował, a czasami nawet więcej. Była na to tylko jedna rada. Jeśli nic nie masz, nie możesz nic stracić. J.T. nauczył się, że lepiej jest w ogóle nie kochać, bo skoro nie znasz tego uczucia, nie zdajesz sobie sprawy z poniesionych strat.

Dzięki Lornie dowiedział się, co czuje człowiek zakochany; jak to jest, gdy ukochana osoba staje się centrum twojego świata. W następstwie tego snuje się teraz po świecie jak ciężko ranne, oślepienie bólem zwierzę.

Powinno go to nauczyć, że każdy człowiek ma obowiązek uważnie słuchać swego instynktu samozachowawczego.

Czemu więc, mimo pobranych lekcji, pragnę widywać Maddy każdego dnia? - zastanawiał się często, na ogół z niesmakiem. Przestał być wzorcowym samotnikiem, chociaż właśnie do tego od dawna dążył.

Jednym słowem, trzeba z tym skończyć.

Natychmiast, zanim zacznie żałować.

Podjął decyzję i czekał, aż pojawi się ulga. To dziwne, ale nic takiego nie czuł.

Nie szkodzi, przyjdzie później, pomyślał pełen nadziei i stanowczo sięgnął po słuchawkę.

Maddy wróciła do pracy trzy tygodnie po porodzie. Na zapleczu biura ustawiła kojec dla swojego, jak żartobliwie mówiła, konsultanta. Pracowała wraz z trzema braćmi, z których każdy wnosił coś innego do firmy założonej przez dziadka, a rozbudowanej przez ich ojca.

Maddy kierowała finansami przedsiębiorstwa, robiła też część projektów. Bill zajmował się zaopatrzeniem, do Steve'a należały projekty architektoniczne, Tony natomiast, który miał szczególny dar przekonywania i wymowy, był odpowiedzialny za zdobywanie klientów. Jeszcze do niedawna pracowali razem z rodzicami. Teraz jednak państwo Rossini postanowili przejść na emeryturę, co zresztą nie powstrzymywało ich wcale przed częstymi wizytami w biurze, szczególnie ostatnio, kiedy mogli przy okazji odwiedzić wnuka.

Cała rodzina rozpieszczała dziecko, Maddy jednak zarzekała się, że oczy jej synka nabierają szczególnego blasku, dopiero gdy do pokoju wchodzi J.T.

Kiedy mu o tym powiedziała, oczywiście nie uwierzył. Zmyślała, pojęcia tylko nie miał, w jakim celu. Tak czy inaczej, nie brał jej słów do

serca, a przynajmniej nie przyznawał się do tego. Osiągnął już zresztą całkiem dobre rezultaty w oszukiwaniu samego siebie. Teraz wreszcie podjął ostateczną decyzję: na dobre zakończy swoje kontakty z Maddy i jej dzieckiem. W tym celu zadzwonił do firmy. Telefon odebrał Bill, który rozpoznał J.T. po głosie. To tylko utwierdziło J.T. w przekonaniu, że spędził z rodziną Rossinich za dużo czasu.

Nie pozwolił wciągnąć się w pogawędkę, którą podjął Bill, i poprosił do telefonu Maddy.

- Wyszła na spotkanie z klientem. Dać ci numer jej komórki4 Maddy wielokrotnie próbowała podać mu ten numer. Uparcie odmawiał, bał się bowiem, że to kolejna nić, która go z nią połączy. Teraz jednak miał konkretny powód, żeby skorzystać z możliwości złapania jej w mieście.

Zapisał telefon i rzucił sucho:

- Dzięki!

Po chwili w słuchawce rozległo się wesołe:

- Halo?

- Mówi J.T.

- John Thomas? - w jej ciepłym głosie słychać było radość.

Czuł się winny, że zaraz powie słowa, których Maddy z pewnością nie chciałyby słyszeć. Na razie dochodził do niego głęboki głos mężczyzny

odzywającego się gdzieś w tle. Zaskoczyło go własne zdenerwowanie i nagłe ukłucie zazdrości.

- Kto tam jest z tobą?

- Nasz klient. - Usłyszał, jak przeprasza mężczyznę. - Czemu zawdzięczam ten niespodziewany zaszczyt? Ostatnio, jak pamiętam, nie chciałeś wziąć numeru mojej komórki.

- Nie było cię w biurze, więc...

- Czy coś się stało? - spytała wyraźnie zaniepokojona.

Oczywiście wyobraźni widział, jak przyciska do ucha mały czarny aparacik, a ustami prawie dotyka jego podstawy. Zrobiło mu się gorąco z pożądania. Chyba najwyższa pora dorosnąć, pomyślał, przeklinając w duchu te właściwe nastolatkom figle wyobraźni.

- Jesteś wolna w czasie lunchu?

Po drugiej stronie zapadła cisza. Domyślał się, że zaproszenie ją zaskoczyło, jednak nie mógł przeprowadzić tej rozmowy przez telefon. To byłoby tchórzostwo, a on tchórzem nie był. No, może poza tym jednym przypadkiem.

- Mogę być. Wystarczy za pół godziny?

W jej głosie brzmiała radość, która tylko pogłębiła jego skrepowanie.

- Tak, świetnie. Niech będzie za pół godziny. Umówili się w restauracji niedaleko miejsca, gdzie miała służbowe spotkanie. Maddy co

prawda musiała jeszcze podrzucić klienta do biura, ale twierdziła, że zdąży.

Odkładając słuchawkę, zaczął planować rozmowę. Nigdy nie potrafił wyrażać uczuć i teraz również nie umiał dobrać właściwych słów.

Musiał jednak powiedzieć jej wszystko, zanim będzie za późno. O ile już nie jest...

Ruch był większy, niż się spodziewała. W porze lunchu na ulice wylewały się tłumy ludzi, którzy w ciągu wolnej godziny próbowali załatwić swoje prywatne sprawy. Jak na taki tłok i tak udało jej się osiągnąć całkiem niezły czas.

J.T. czekał już na nią w małej restauracji, która cieszyła się dobrą renomą, bo w przeciwieństwie do większości lokali, tutaj każdy mógł znaleźć trochę spokoju. Nie wiedzieć czemu Maddy opanowało zdenerwowanie. Może dlatego, tłumaczyła sobie, że J.T. nigdy dotąd nie umawiał się ze mną w restauracji. Wpadał do firmy albo do domu, spotykali się również w miejscach, które ona proponowała. Nigdy jednak inicjatywa nie wyszła od niego.

Czyżby wreszcie udało mu się pokonać największą przeszkodę? Jednak widząc wyraz jego twarzy, domyśliła się, że nie dlatego chciał się z nią zobaczyć. Najwyraźniej szykowało się coś niedobrego.

Przez ostatnie miesiące oszukiwała się, że robi to wszystko dla jego dobra; wmawiała sobie, że chce tylko przywrócić mu chęć do życia. A przecież zupełnie o to chodziło.

Na pewno taki cel przyświecał jej na wstępie, wkrótce jednak J.T. stał się dla niej nie tylko człowiekiem potrzebującym pomocy, ale kimś znacznie więcej. A mówiąc bez owijania w bawełnę, po prostu się w nim zakochała.

J.T. pewno zdawał sobie sprawę z jej uczuć i stąd dzisiejsze spotkanie. Prawdopodobnie chciał łagodnie usunąć ją ze swojego życia.

Serce Maddy zamarło.

J.T. uniósł się na powitanie. Zdecydowanie, które dostrzegła w jego oczach, było wyraźne nawet w przyćmionym, stwarzającym intymną atmosferę świetle restauracji.

To śmieszne. Gdyby nie zdała sobie sprawy z własnych uczuć, spojrzenie J.T. nie zrobiłoby na niej żadnego wrażenia. Zawsze na nią tak patrzył, ilekroć próbowała, bardziej lub mniej delikatnie, namówić go, by chociaż na moment postarał się zapomnieć o swoim bólu.

- Co za miła niespodzianka - powiedziała, siadając naprzeciwko. Zauważyła, że wybrał możliwie odosobniony stolik. Ciekawe, czy pragnął tylko podkreślić prywatny charakter ich spotkania, czy też bał się, że Maddy może urządzić



scenę? - Zwykle to ja muszę proponować ci spotkania.

Sięgnęła po kartę, ale ani na chwilę nie spuszczała wzroku z J.T.

- Zaczynasz nowe życie?

Cholera, jak to możliwe, żeby kobieta w zwykłym, biurowym kostiumie wyglądała tak pociągająco? - Zresztą, czy wyglądała kiedyś źle? - Nawet tamtej nocy, z wielkim brzuchem i włosami przyklejonymi do czoła była piękna. Mimo potwornego bólu i strachu wydawała się bardziej atrakcyjna niż niejedna gwiazda filmowa.

Pragnął jej. I to był jego problem, bo wcale tego nie chciał. Pod żadnym zresztą względem, ani dla seksu, ani tym bardziej dla czegoś więcej.

Nie dosłyszał pytania, które zadała. Chyba mówiła coś o rozpoczynaniu nowego etapu życia.

- Nie - odparł krótko.

- Mam nadzieję, że nie chodzi ci o mieszkanie? - Zrozumiał jej intencje. Rozpaczliwie próbowała zmienić tok jego myśli.

Prawie miesiąc temu udało jej się wprosić do mieszkania J.T.

Przeraziło ją spartańskie życie, które tam wiódł. Najpierw, bardzo delikatnie, rzuciła kilka pomysłów i propozycji zmian. Po kilku dniach pokazała mu zdjęcia z kolorowych magazynów, a stąd już prosta droga do sklepu z meblami i wyposażeniem wewnątrz.

W chwili słabości, z czego świetnie zdawała sobie sprawę, J.T. poddał się i pozwolił jej zająć się urządzeniem mieszkania. Nie minęło wiele godzin, a dostarczone zakupione towary i nieprzytulne wnętrza nabrało cech domu.

Wiedziała, że ze zdumieniem obserwował jej poczynania. Gdy przyszło do oglądania efektów pracy, zrzędlwym tonem dopytywał się, czy nie wystarczają jej obowiązki przy dziecku i w firmie. Wyznała wówczas, że według niej należy żyć pełnią życia, a robienie magicznych sztuczek, jak określiła projektowanie wnętrza jego mieszkania, nadaje jej istnieniu szczególnie głęboki sens.

Podobały mu się zmiany, jakie wprowadziła, i szczerze to przyznał. Taka pochwała z jego ust stanowiła bardzo pożądaną nagrodę.

Teraz jednak najwyraźniej nie zamierzał sypać pochwałami. Zdążyła się już zorientować, że nie spotkał się z nią, by mówić o mieszkaniu. Postanowiła jednak podjąć próbę powstrzymania tego, co zdawało się nieuchronne. Musi walczyć, nie podda się tak łatwo. Przecież nawet mrówki potrafią zbudować osłonę przed nadciągającą nawałnicą. Jeśli tylko przeżyje, odbuduje zniszczenia po burzy.

J.T. czekał na nią ponad pół godziny. Skóra mu cierpła ze zdenerwowania na myśl o czekającej go

rozmowie. Sam już nie wiedział, czy chce ją przeprowadzić, czy nie.

- Nie - uciął krótko. - Nie chodzi mi o mieszkanie. Powiedziałem już przecież, że mi się bardzo podoba.

Udawała, że nie słyszy jego cierpkiego tonu.

- Prawda. - Sięgnęła do koszyka po kawałek chleba i bezwiednie zaczęła go skubać. - Czemu więc chciałeś się ze mną zobaczyć^

Nie było wyjścia. Musiał to wreszcie powiedzieć i zamknąć ten rozdział.

- Chcę odzyskać moje życie.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Zapadła martwa cisza.

Cholera jasna, skąd się wzięło to poczucie winy? Powinien przecież odczuwać ulgę!

- Chcę odzyskać moje życie - powtórzył.

Maddy złożyła ręce, jak pilna uczennica w klasie, która boi się, że mogłaby coś stracić z lekcji. Pochyliła się teraz do przodu ze wzrokiem utkwionym w J.T.

- Czyżby ktoś je wziął do niewoli? Wiedział, że Maddy zna odpowiedź na swoje pytanie.

- Tak, ty - odparł. Uniosła gwałtownie głowę.

- Słucham?

Nie chciał wdawać się w dyskusję, ale też nie wiedział, jak to rozegrać. Do diabła, sam nie był pewien, czy wszystko rozumie.

Uciekły wszystkie starannie przygotowane zwroty. Zresztą teraz i tak na nic by się nie zdały.

Nabrał powietrza, jakby to mogło mu pomóc zebrać myśli.

- Nie chcę z nikim dzielić swojego życia.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że próbuję cię do tego zmuszać.

Z jej obojętnego tonu wywnioskował, że musiał ją bardzo zranić.

Chyba po raz pierwszy nie słyszał w jej głosie entuzjazmu.

- Nie wiem, czy próbowałaś, ale jednak sprawiłaś, że przywiązałem się do ciebie. Do niego też.

- Spojrzała na niego zaskoczona. - Do Johnny'ego

- wyjaśnił. Zarówno Maddy, jak i jej syn coraz głębiej zapadali mu w serce, coraz więcej miejsca zajmowali w jego życiu.

Codziennie budził się z nadzieją, że ich ponownie zobaczy. - Nie mogę powtórnie przechodzić przez to wszystko.

- Przez co? - Odrętwiała ze zdenerwowania starała się zrozumieć, co J.T. ma na myśli. - Chodzi ci o to, że zaczynasz wreszcie coś odczuwać?

- próbowała zgadnąć. Cień, który przemknął po jego twarzy, był najbardziej wymowną odpowiedzią. - J.T., żywy człowiek nie może istnieć bez uczuć, może jedynie pozorować życie.

- Mnie to wystarczy. - Podniósł się z krzesła. Nie mógł znieść myśli, że to z jego winy oczy Maddy posmutniały. Nie ma rady.

Jeśli teraz się

podda, później będzie jeszcze gorzej. - Chcę tylko, żebyś wiedziała, że to we mnie tkwi błąd, nie w tobie.

- Wiem - odparła cicho. - Ale pragnę to zmienić. - Kiedy ruszył do wyjścia, podniosła głos. - Nie możesz przejść przez życie samotnie. Jeśli nie chcesz, żebym to ja ci pomogła, znajdź kogoś innego.

Słyszał te słowa w drodze do samochodu, przez całe popołudnie, przez następne dni i noce. Jak bardzo musiało jej na nim zależeć, skoro się tak martwiła! Pragnęła nawet, żeby znalazł kogoś innego, byle tylko był szczęśliwy.

Do diabła, skąd się bierze ta jej bezinteresowność? Na świecie nie ma już takich ludzi! - pomyślał, wyładowując wściekłość na klapie schowka w swoim aucie.

Będzie jej lepiej z kimś innym, tłumaczył sobie w drodze do wozu patrolowego. Z mężczyzną, który o nią zadba tak, jak na to zasługiwała. A on powinien wrócić do stanu wyjściowego. Czyli prowadzić takie życie, jak wówczas, kiedy jej jeszcze nie znał.

W ciągu dnia J.T. krążył nerwowo po mieszkaniu, które Maddy tak odmieniła, i za wszelką cenę starał się o niej nie myśleć.

Trzymał się

twardo przez dwa tygodnie. Zgłaszał się na dodatkowe dyżury, brał zastępstwa za wszystkich nieobecnych, oby tylko odpędzić natrętne myśli i samotność, która znów zaczęła go nękać.

Nie zdawał sobie nawet sprawy, że to widmo zniknęło z jego życia, póki nie powróciło teraz, osaczając go jeszcze szczelniej. Czuł się tak samotny jak dawniej, z tą jednak różnicą, że tym razem sam wybrał takie życie. Chciał wrócić do swojej skorupy, lecz okazała się zbyt szczelna i za ciasna. Zaczynał się w niej dusić, cierpieć na klaustrofobię.

Mimo to nie sięgnął po słuchawkę, nie przejeżdżał obok domu Maddy. Ciągle liczył na to, że jeśli uda mu się wytrzymać wystarczająco długo, wszystko się samo ułoży. Wyleczy się z Maddy, jak z grypy.

Fenelli przez pewien czas cierpliwie znosił nastroje partnera, jednak któregoś wieczoru, gdy patrolowali cichą przemysłową dzielnicę w zachodniej części Bedfordy nie wytrzymał.

- Słuchaj, być może nie potrzebujesz rady... J.T. patrzył niewzruszenie wprost przed siebie.

- Zgadza się.

Fenelli zignorował próbę ucięcia rozmowy.

-I tak ci jej udzię, bo jeśli nie zrobisz czegoś, i to szybko, zbierzemy się w kilku i zastrzelimy cię na tyłach posterunku - ciągnął beznamiętnym

tonem. - To będzie zabójstwo z litości. - Rzucił okiem na J.T. -  
Dla ciebie i dla nas.

Tracąc cierpliwość, J.T. odwrócił głowę do kolegi.

- O czym ty, do cholery, gadasz - warknął.

- Mówię o tym, że wszyscy w życiu bezustannie podejmujemy  
ryzyko, bez względu na to, co robimy - zaczął Fenelli. - Zawód  
policjanta to ryzyko. Schodzenie z krawężnika też - ciągnął, choć  
obawiał się, że porównanie może okazać się zbyt bolesne. - Jakiś  
chrzaniony pijak może wyskoczyć zza rogu i posłać cię prosto na  
łono Abrahama.

- Bądź łaskaw przejść do rzeczy - uciął J.T. Fenelli zatrzymał  
samochód przy krawężniku

i popatrzył na młodszego kolegę, którego wziął pod swoje  
skrzydła dawno temu.

- Chodzi o to, że nie wiemy, co przyniesie nam dzień dzisiejszy  
czy jutrzejszy, ani nawet następna godzina. Możemy najwyżej  
cieszyć się odrobiną szczęścia, jeśli uda nam się je znaleźć gdzieś  
po drodze. Moim zdaniem tobie przydarzyło się to dwukrotnie.  
Nie odrzucaj tej drugiej szansy, którą ci daje los, bo będziesz  
żałował przez całe życie, nawet jeżeli pozostało ci niewiele  
czasu. Zresztą, jeśli do niej nie wrócisz, na pewno nie będzie  
długie, bo cię zastrzelimy - zakończył Fenelli i ponownie  
uruchomił samochód.



J.T. odetchnął głęboko.

- Chyba rzeczywiście czasami używasz mózgu.

Fenelli uśmiechnął się pod nosem, nie odwracając oczu od ulicy, którą jechali. Miał nadzieję, że udało mu się wreszcie dotrzeć do kolegi.

- Chyba tak.

Maddy nie sądziła, że może się tak bardzo zaangażować, a już zupełnie nie była przygotowana na taki ból, jaki odczuwała po odejściu J.T.

Od dnia, kiedy J.T. wyszedł z restauracji, a tym samym odszedł z jej życia, nie miała jednej wolnej chwili, a jednak każdy dzień wydawał się pusty.

Pusty mimo zajęć przy synku, którego uwielbiała, i pracy, którą kochała. Pusty mimo rodziny, która jak zwykle otoczyła ją czułą opieką, nie zadając zbędnych pytań.

Walcząc z uczuciami, powtarzała, że wytrzyma... Dała sobie radę po śmierci Johna, da i teraz.

Jednak to musi potrwać.

Dzień Matki jej bliscy postanowili świętować u niej w domu, przykleiła więc do warg uśmiech i postanowiła udawać, że wcale nie płacze nad swoim losem. Kto wie, może jeśli się bardzo postara, sama też zdoła w to uwierzyć.

Kręciła się po pokoju, gawędziła z gośćmi, uśmiechała się do nich. I stale myślała o tym, dlaczego nie ma przy niej J.T.

Cóż, nie ma i nie będzie. Dał jej jasno do zrozumienia, że nie chce jej więcej widzieć. I faktycznie, nie pokazał się od trzech tygodni. Czemu dziś miałoby być inaczej?

Zatrzymała się przy kojcu i podniosła Johnny'ego.

- Jesteś jedynym mężczyzną, jakiego mi potrzeba-wymruczała, przytulając się do policzka synka.

Z daleka dobiegł ją melodyjny dźwięk gongu.

- Maddy, ktoś dzwoni - zawołał Bill, który ze swoją najnowszą ukochaną stał najbliżej drzwi wejściowych. - Mam otworzyć?

Pokręciła głową.

- Dziękuję, zajmę się tym. - Podała bratu Johnny'ego. - Weź go na chwilę.

To pewno ktoś ze znajomych, myślała, idąc do drzwi. Wszyscy członkowie rodziny zdążyli się już zebrać, bracia przyszli ze swoimi nowymi dziewczynami, którym z ogromnym zainteresowaniem przyglądał się tata. Z niego z kolei nie spuszczała czujnego oka Lorraine.

Maddy uśmiechnęła się do siebie, sięgając do klamki. Ojciec dawno już nie był młodzieniaszkiem, ale czasami zachowywał się, jakby nadal miał dwadzieścia lat. Uważała zresztą, że to jedna z jego bardziej ujmujących cech.

Gdy otworzyła drzwi, uśmiech zamarł jej na wargach.

Czyżby wyobraźnia spletała jej figła? Przymknęła oczy, ale kiedy je znów otworzyła, stał tam nadal.

- To ty - wyjąkała.

J.T. z zażenowania omal nie przestępował z nogi na nogę. Gdzieś ulotniła się odwaga, którą zbierał przez cały dzień.

- No właśnie, ja. - Widząc spojrzenie Maddy skierowane na jego ręce, przypomniał sobie o bukietcie, który ścisnął w dłoni. W kwiaciarni kazał go ułożyć ze wszystkich dostępnych kwiatów. W ten sposób miał większe szanse, że któryś z nich okaże się ulubionym kwiatem Maddy.

- Proszę, to dla ciebie. Najlepsze życzenia z okazji Dnia Matki.

Minę miała nadal niepewną. Maddy nie mieściło się w głowie, że J.T. słyszał o takim święcie.

- Dziękuję. - Wciągnęła powietrze, wdychając woń kwiatów.

Podniosła oczy. - Sądziłam, że ma to być gest pojednania.

- Właściwie też. - Przerwał, jakby zabrakło mu energii. Szukał właściwych słów, a wszystkie wydawały mu się żałośnie puste. - Zgodzisz się zawrzeć pokój?

- Nie ja wypowiedziałam wojnę - odparła spokojnie.

Zrobił ruch, jakby chciał wzruszyć ramionami.

- Wiem, to ja.

- Maddy, kto przyszedł? - z głębi pokoju dobiegł głos matki.

- Kolega, mam - odkrzyknęła Maddy. J.T. zaśmiał się.

- Mam wrażenie, że za każdym razem, gdy cię odwiedzam, zastaję tłum ludzi.

W odpowiedzi przymknęła za sobą drzwi wejściowe, J.T. jednak błędnie odczytał jej intencje.

- Czy dajesz mi do zrozumienia, żebym sobie poszedł?

- Sądziłam, że chcesz się odgrodzić od moich gości. Wiem, jak bardzo cenisz sobie prywatność.

Zajrzał jej w oczy. Boże, ależ tęsknił za tą chwilą! Za tym spojrzeniem, za wdzięcznym, kuszącym łukiem szyi, za ustami. Po prostu za Maddy.

- Nie tak bardzo, jak mi się zdawało. - W oczach Maddy dojrzał zdziwienie i niepewność, gdy ulegając pragnieniu, wyciągnął rękę i pogłaskał jej włosy. - Chcę odzyskać swoje życie.

Słyszała już te słowa.

- Myślałam, że to właśnie osiągnęłaś, odchodząc. A może się mylę?

- Nie chodzi mi o tamto życie, lecz o to, które ty mi ofiarowałaś. - Mówił teraz głębszym, dźwięczniej szym głosem. - Chcę świata, który się otwierał za każdym razem, gdy się zaśmiałaś, ilekroć spojrzałem na ciebie i Johnny'ego.

- Nigdy ci tego nie odebrałam - zaproponowała, bojąc się okazać choćby cień nadziei. - Ty sam odrzuciłeś ten świat.

- Wiem. - To jego wina, tylko jego. Świetnie zdawał sobie z tego sprawę. - Czy pozwolisz, żebym do niego wrócił?

- To zależy. - Przycisnęła kwiaty do piersi, jakby chciała stworzyć z nich tarczę, która zdoła ochronić jej serce. - Przede wszystkim, czy rzeczywiście tego chcesz?

- Najbardziej na świecie - powiedział, jakby składał przysięgę. Jej uśmiech zajaśniał jak słońce.

- No, to wracaj. Nikt ci nie zabrania.

Pragnął przycisnąć usta do jej warg, spić słodycz, która pozwoliłaby odegnać smak pustki ostatnich tygodni. Z tym jednak musiał poczekać, póki nie powie wszystkiego.

- Jest jeszcze jedna sprawa.

Uniosła brwi. W jej oczach znów pojawiła się niepewność.

- Mianowicie? Zawahał się.

- Maddy, wiesz, że nie potrafię ładnie mówić. Przypomniała sobie, jak bezpiecznie się czuła, gdy był blisko, jak dobrze, kiedy ją całował.

- Nie wszyscy muszą to umieć. Masz inne zalety. Zresztą, dzięki temu znakomicie się uzu-

pełniamy - zaśmiała się. - Ja potrafię mówić, a ty słuchać.

Pokręcił głową.

- Jednak tym razem wolałbym, żebyś posłuchała, gdy ja będę mówił.

- W porządku. Mów.

Zapadła cisza. J.T. zacisnął wargi i uciekł spojrzeniem gdzieś w bok, na trawnik. Był świetnym policjantem, ale miał wrażenie, że w życiu prywatnym jest do niczego.

Zdenerwowany wcisnął dłonie do kieszeni i pod palcami poczuł aksamitne pudełeczko. Popatrzył na Maddy i nagle słowa, choć może zbyt krótkie i proste, przyszły same.

- Wyjdź za mnie.

Nigdy nie czuła się tak zaskoczona.

- Powinieneś chyba najpierw powiedzieć, że mnie kochasz.

- To prawda. Kocham cię. - Jak to ładnie brzmi! Ciekawe, co go powstrzymywało od wyznania tego wcześniej? - Dlatego odszedłem...

Kwiaty wysunęły się z jej rąk i posypały na wycieraczkę.

Delikatnie dotknęła jego twarzy.

- A więc teraz kochaj mnie i zostań - poprosiła.

Otoczył ją ramionami.

- Po warunkiem, że tego chcesz. Roześmiała się z całego serca.

- Obawiam się, że masz marne szanse na awans, jeśli jeszcze tego nie odkryłeś.

Otworzył pudełeczko, które wyciągnął z kieszeni. Tradycyjnie szlifowany brylant zaśnił w popołudniowym słońcu. Usłyszał i również poczuł, jak Maddy wstrzymuje oddech.

- Może łatwiej go dostanę, jeśli pomożesz mi przygotowywać się do egzaminów?

- Jestem gotowa pomagać ci nawet codziennie - obiecała, zarzucając mu ręce na szyję. - A odpowiedź brzmi „tak”. Wyjdę za ciebie.

- Ten twój kolega nadal tam jest? - usłyszeli głos Lorraine.

- Nie, już poszedł! - odkrzyknęła Maddy przez ramię. Podniosła głowę i zajrzała J.T. w oczy. - Za to wpadł ktoś znacznie ważniejszy.

- I zamierza tu zostać na zawsze - dodał J.T. Pochylił głowę i całując usta Maddy, rozpoczął pierwszy etap swojej drugiej szansy.